

1347



1903.

CZERWIEC.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Dodatek popularno-naukowy
(BEZPŁATNY).

Fakty i przypiski.

Szkice Herberta Spencera.



Państwo i oświata ludowa.

Istnieją kwestye, w stosunku do których od lat najdawniejszych, stawałem po stronie mniejszości, nieraz znacznej mniejszości, a często nawet wygłaszałem pogląd, którego jedynym byłem przedstawicielem. W czasie, kiedy sprawa udziału państwa w nauczaniu ludu rozpatrywana była bardziej z teoretycznego punktu widzenia, aniżeli ze stanowiska tak zwanej polityki praktycznej, nie podzielałem opinii ogółu i dawałem wyraz swojej w tym względzie opozycji, której pozostałem wiernym po dziś dzień, pomimo, że dla wielu ludzi fakt, iż państwo odpowiada za umysłowy rozwój obywateli, stał się niezbitym pewnikiem.

W piątym dziesiątku ubiegłego stulecia często roztrząsałem sprawę oświecania ludu przez państwo; o tych

samych kwestyach pisał jednocześnie ze mną pewien czcigodny mój przyjaciel, który w artykułach swoich rozwijał projekt opodatkowania dóbr kościelnych w celu dostarczenia środków na szerzenie oświaty wśród najszerzych mas. Ja zaś już wówczas wyrobiłem sobie dzisiejszy mój pogląd na działalność rządów i powstawałem przeciwko wtrącaniu się państwa do tych spraw, powstawałem zaś z powodu natury zarówno ogólnej, jak specjalnej *). Przyczyna ogólna—w związku z przyczynami specjalnymi, które bardzo wyraźnie uwydatniły się w ostatnim czasie—polegała na tem, że państwo jest produktem rozwoju, nie zaś—zmian dowolnych. Przyczyną zaś specjalną, harmonizującą z przyczyną ogólną, jest fakt, że prawo popytu i podaży jednakowem jest zarówno w sferze materialnej, jak duchowej i że podobnie jak wszelkie sztuczne zewnętrzne interwencje ujemny wpływ wywierają na sprawę popytu i podaży towarów, tak samo szkodliwą jest podobna interwencya w kwestyi popytu i podaży kultury. Po upływie wielu lat, przyjaciel mój przyznał się, że doświadczenie, jakie nabył, piastując przez długi czas urząd sędziego w Glostershire, wpłynęło na zmianę odnośnych jego poglądów. Praktyka nauczyła go, że sztucznie szczepiona i krzewiona oświata, rozbudzająca w robotniczej i rolniczej sferze dążenie do życia lepszego, nie odpowiadającego jej stanowi, narażająca ją tem samem na częste rozczarowania, kieruje ją zazwyczaj na fałszywą drogę—a nieraz nawet popycha do zbrodni.

Ogólny wniosek, do jakiego doszedł, był taki, że gdy

*) Porównaj niektóre listy moje: „O właściwej sferze działalności państwa“, wydane pierwotnie w 1842 r., a następnie w 1843 r.

rozwój umysłowy wyprzedza rozwój moralny, wyniki nader są smutne; wniosek ten, wyrażony przez niego w inny, mniej może ścisły sposób, zrazu zadziwił mnie, wkrótce jednak zrozumiałem, że najzupełniej zgodny jest on z poglądami, jakie często dawniej sam ujawniałem.

Nie zamierzam mówić na tem miejscu o ogólnej sprawie upaństwowienia oświaty, poprzestaną jedynie na rozpatrzeniu powyżej wskazanej tezy, jaką sobie założyłem, mianowicie: na zaprzeczeniu powszechnie przyjętego faktu istnienia wzajemnego związku pomiędzy kulturą umysłową i moralnym rozwojem—drogą dowiedzenia, że społeczeństwo nie tylko nie zyskuje, ale naodwrot, traci na sztucznem rozwijaniu umysłu przy jednoczesnem lekceważeniu rozwoju strony moralnej.

Chcąc uzmysłwić sobie, jak—źle czy dobrze—wpływa na lud przymusowe szerzenie oświaty, kultury umysłowej—wystarczy śledzić uważniej skutek nauk moralnych, dawanych nam przez prasę codzienną. Bardzo odpowiednim wstępem do tej kwestyi będą słowa doktora Johnsona, powtórzone niedawno przez dziennik „Idler“. Dr. Johnson pisał 11 listopada 1758 r. co następuje:

„Podczas wojny jednakowy jest nastrój całego narodu; wszyscy pragną słuhać dobrych wieści o sobie i złych o nieprzyjacielu. W czasach takich łatwe jest zadanie korespondentów. Muszą oni przedewszystkiem zakomunikować, że bitwa jest spodziewana lada chwila, potem—że bitwa już miała miejsce i że my oraz nasi sprzymierzeńcy—niezależnie od tego, czy zostaliśmy zwycięzcami, czy zwyciężonymi—zrobiliśmy wszystko, co do nas należało, nieprzyjaciel zaś spisał się marnie... Do klęsk wojny należy między innymi i zanik miłości prawdy, której miejsce zajmuje kłamstwo, nakazywane przez dbałość o własną

skórę i popierane przez łatwowierność. Pokój zarówno pozabawia pracy wojujących, jak i korespondentów i co się mnie tyczy, to nie wiem, czego należy więcej się obawiać: czy ulic pełnych żołdactwa nawykłego do grabieży, czy też strychów, pełnych pismaków przywykłych do kłamania“.

Jak widzimy ze słów tych nie zaszła w ciągu półtorasetki lat żadna wyraźna w tym kierunku zmiana. Codzienne sprawozdania z wojny południowo-afrykańskiej pełne były bajek, przesady i kłamstw: wiele faktów zupełnie było skażonych, o wielu zaś przemilczano zupełnie. Wkrótce, np. po rozpoczęciu wojny, w październiku 1899 roku, ogłoszono komunikat, że zboże Boerów gnije na pniu (komunikat, najwidoczniej sfabrykowany w Londynie przez osobę, która zapomniała, że naszej jesieni odpowiada ich wiosna); w kilka miesięcy zaś po tym komunikacie przyszła wiadomość, że żniwa rozpoczęły się tam na dobre. Następnie, kiedy oddział wysłany w celu oswobodzenia Ladysmithu, został odpartym, przyszła wiadomość, że mieszkańcy przyjęli fakt ten obojętnie (!) — po kilku zaś dniach wydrukował „Times“ list korespondenta z Ladysmithu, opisującego „rozpaczą“ mieszkańców. To przykład pierwszy. Drugi jest następujący. Korespondenci różnych oblężonych miast komunikowali, że bombardowanie nie spowodowało żadnych poważniejszych strat, o których warto byłoby pisać, a potem, po uwolnieniu Kimberleyu, Rhodes pisał, że podczas oblężenia zabito i raniono około 120 ludzi. Prócz tego, pewien specjalny korespondent przyznaje się, że każenie faktów było powszechnie przyjętą i ustanowioną polityką.

„Z pojęciem o wojnie tej bezpośrednio łączy się fałszywe pojęcie o uczciwości i patriotyzmie. Ludzie, którzy

odważali się publicznie nazywać położenie krytycznem i nie przekręcali faktów podając klęski za zwycięstwa, uważani byli za zdrajców“. („The Globe“ 26 lutego 1900 r.).

Inny korespondent, F. Young, zapewnia, opierając się na osobistem swoim doświadczeniu, że cenzura wojenna nie tylko uważała za właściwe pomijać milczeniem pewne fakty, ale nadto kaziła je rozpuszczaniem fałszywych wieści. Oto przykład. Do ostatnich czasów, t. j. do chwili, kiedy Boerowie byli doprowadzeni do wściekłości i rozpaczy paleniem ich ferm i napadaniem na ich kobiety, wszyscy schwytni do niewoli oficerowie i żołnierze odzywali się o nich jaknajlepiej a zmarły sir George Grey mówił: „Nie znam narodu, posiadającego w wyższym stopniu publiczne i prywatne cnoty, aniżeli Boerowie“—a tymczasem, o tych samych Boerach pisze Ralph, korespondent „Daily Mail“, że „nie odznaczają się oni ani mężstwem, ani prawością“, że są „podli i tchórzliwi“, „nawpóldzicy“, „nie-ludczy“, pełni „szatańskiej chytrości“, i t. d. i t. d.

Od takich korespondencyj roily się pisma w ciągu zimy, wiosny i lata! Niektórzy czytelnicy zaczęli przyjmować z niedowierzaniem takie oczywiste kłamstwa, większość jednak, tak samo jak w epoce Johnsona, z zachwytem odczytywała podobne wiadomości, opisujące cudowny stan rzeczy u nas i najgorszy u nieprzyjaciela, dopóki narreszcie nie przychodziły inną drogą dowody kłamliwości prasy, narażające ją na zupełną utratę wiary ze strony czytającego ogółu.

Z początku pojawiały się w pismach opisy rzezi pekińskiej, szczegółowo zdające sprawę z energicznego oporu, jaki okazali Europejczycy, z rozpaczliwej walki i ostatecznego zwyciężenia małej garstki Europejczyków, z któ-

rażą Chińczycy obeszlą się w sposób nieludzko dziki i okrutny. W kilka dni potem przysły dowody przekonywające, że cały ten szczegółowy opis zupełnie był kłamliwy, że nie było ani rzezi, ani okrucieństw. Wiadomość taka wprawiała całą czytającą publiczność w większe daleko zdumienie, aniżeli wszelkie sprzeczne wieści, dotyczące spraw południowo-afrykańskich i przyczyniła się nareszcie do zwrócenia uwagi ogółu na kłamliwość wszelkich tego rodzaju nowin i publikacyj. Dostarczono dowodów, że depesze były fabrykowane na Fleeg-street, gdzie z czterech słów autentycznego telegramu robiono zazwyczaj czterdzieści; w ten sposób—jak pisze w gazecie „Times“ 29 sierpnia 1900 r. „Stary dziennikarz“ — „wspaniałe opisy zwycięstw, zapełniające całe szpalty, „robione“ były na podstawie telegramów, zawierających co najwyżej 20—30 wyrazów“. System podobny daje się wytłómaczyć tem jedynie, że żądza wiadomości sensacyjnych tak jest rozwinięta wśród czytelników, iż gazety zmuszone są w pogoni za korzyścią materyalną prześcigać się wzajem w kłamliwych i przesadnych opisach.

Do wszystkich poprzednich faktów, opisanych przeze mnie jeszcze w 1900 r., dołączę również otrzymane w grudniu 1901 r., świadectwo dwóch naocznych świadków: współpracownika „Nieoficyalnych Wiadomości“, Edgara Wollesa i współpracownika „With Remington“, kapitana L. M. Philippsa.

Jakkolwiek obydwaj ci dziennikarze różnie zapatrują się na kwestyę prowadzenia wojny, mianowicie: pierwszy żąda jaknajwiększej surowości, drugi zaś (wojskowy) uważa za możliwe pozostawienie zupełnej swobody, obaj jednak zupełnie jednakowo potępiali systematyczne każenie prawdy, wypływające z wojskowej cenzury. Nadając głów-

nemu cenzorowi armii, lordowi Robertsonowi, nazwę „lorda, wielkiego poszukiwacza wieści telegraficznych“ — powiada Wolles, że cenzor ten nie byłby nigdy zaprotestował przeciwko „zbyt optymistycznym“ depešom, nigdy jednak nie odważyłby się—z obawy przed głównym komendantem wojsk—przepuścić wiadomość pesymistyczną, chociażby najprawdziwszą. Co się tyczy kapitana Philippsa, powiada on wprost, że „mocarze pieniężni mieli w rękach swoich całą prasę, kontrolowali i fabrykowali wiadomości, które miały dojść do Anglii“... „skargi, których celem było zwrócenie na siebie uwagi, wymyślane były zupełnie dowolnie“ (str. 106). „Śmiertelność, choroby i spustoszenie wśród Boerów wciąż postępują; lud ten jest już w fazie agonii i uchodzi we krwi... Ważną jest rzeczą, aby położenie jego wiadomem było w domu, ponieważ cały system prowadzenia wojny może uleść zmianie“ (str. 211). Wszystko to jest nieodpartym dowodem, że cały kraj oszukiwany był podrobionemi sprawozdaniami.

Pomyślmy teraz, jakie dadzą się wyprowadzić wnioski, w imię których przytoczyłem wszystkie powyższe szczegóły. Londyńskie pisma codzienne, drukowane w liczbie około trzech milionów egzemplarzy oraz gazety prowincjonalne, rozchodzące się w mniej więcej tej samej ilości, codziennie szerzyły kłamliwe te wieści wśród ludzi, już uprzednio roznamiętnionych i podnieconych wskutek otrzymywanych takich samych fałszywych wieści przez południowo-afrykańską prasę; zrodziło to uczucie dzikiej nienawiści, uwydatniającej się w szorstkiem traktowaniu ludzi, którzy śmieli myśleć i mówić, że słuszność nie jest po stronie Anglików. Roznamiętniano w ten sposób ludzi, których państwo podnosiło do poziomu czytelników pism i którzy chętnie połykali starannie odszukiwane w gaje-

tach codzienne zachwyty nad własnym narodem i poniżenia nieprzyjaciół. Drzemiące instynkty barbarzyńskie, rozbudzone zostały przez demoralizujący wpływ prasy, której znaczenie byłoby bardzo niewielkie, gdyby sztuczne szerzenie umysłowej kultury nie spotęgowało do wysokiego stopnia wpływu jej na masy.

W komedyi szekspirowskiej: „Miarka za miarkę“, powiada książę: „Ledwo jest dosyć prawdy na ziemi, aby zachować życie społeczeństwa — tyle jednak zaręczeń, że wszyscy przeklinają stowarzyszenia: na tej zagadce obraca się cała mądrość świata“. Gdybyśmy słowa te przerobili w zastosowaniu do danego wypadku, będą one brzmiały w ten sposób: „Zaledwie istnieje dość prawdy, aby utrzymać społeczeństwo w stanie zdrowia“. Gorączkowy nastrój wojenny, sprawca tylu klęsk nietylko zagranicą, ale i w krajowym życiu społecznym, jest wynikiem codziennego kąpienia się w atmosferze kłamstwa. Czy wobec tego, nie jest najzupełniej uzasadnionym pogląd, że pchanie naprzód kultury umysłowej, przy jednoczesnym zaniedbywaniu kultury jego moralnej, rodzi dużo złych, wprost fatalnych skutków? *)

*) Gdy słowa powyższe były już napisane, natrafiłem na jaskrawą ilustrację jednego ze sposobów, za pośrednictwem których oszukiwano opinię publiczną; jako świadek występuje na widownię osobistość, którą wieloletnie doświadczenie oraz wysokie stanowisko, stawiają ponad wszelkie podejrzenia; świadkiem takim był np. feldmarszałek sir Newill Chamberlain. Powiada on, że „nigdy armia wielkobrytańska nie popełniła nic podobnego do bezwstydnego niszczenia i wywożenia całych rodzin, jak to obecnie miało miejsce“. W końcu lipca 1901 r. posłał on do

Można twierdzić z całą stanowczością, że kultura umysłowa pielęgnuje siłę wyładowywania się na zewnątrz i szukania zadośćuczynienia przez stronę wzruszeniową, potęguje wogóle życie emocjonalne. Gdyby emocje szlachetne były silniejsze od emocyj poziomych, byłoby to rzeczą nader korzystną; gdyby były one nawet równoważne, nie byłoby w tem jeszcze nic tak złego, zazwyczaj jednak u ludzi przeciętnych emocje poziome, instynkty niskie przeważają nad instynktami szlachetnymi, czego oczywistym i jaskrawym dowodem są wyniki wszelkich niespodzianych wyzwoleń z więzów ograniczeń społecznych. Dlatego też wykształcenie, potęgując siłę emocyj, potęguje względną przewagę emocyj bardziej poziomych, powstrzymujący zaś pierwiastek emocyj szlachetniejszych, łatwiej może być obezwładniony; dlatego też społeczeństwo tak łatwo poddaje się społecznym przewrotom i kataklizmom.

jednego z pism londyńskich list, który zawierał wyrażenia w sensie przytoczonego przed chwilą, potępiające zachowanie się wojsk naszych podczas wojny w Afryce Południowej. Po kilku dniach milczenia, w odpowiedzi na swoją interpelację telegraficzną w tej sprawie, otrzymał od wydawcy odbitkę, wraz z prośbą o wykreślenie kilku, notabene najważniejszych, ustępów. Skutkiem tego przetrzymania oraz pośredniej presji było wydrukowanie przez sir Newilla Chamberlaina listu tego w „Manchester Quardian“. Widzimy więc, że zakaz dotyczył i tym razem, jak zawsze, wydrukowania poglądu, niezgodnego z szerzonym powszechnie poglądem partji stojącej u steru władzy. Prawdę ukryła zarówno prywatna, jak wojskowa cenzura.

„A więc ze względów bezpieczeństwa publicznego mamy utrzymywać lud w ciemnocie?“ — powie niejeden z czytających te słowa. Nietylko u nas w Anglii, ale w całej Europie rozpowszechnionym jest pogląd, że wszystkiemu trzeba albo pomagać, albo przeszkadzać; zupełnie nie chcą uznać polityki biernej, polityki niewtrącającej się zupełnie do przebiegu spraw, pozwalającej rozwijać się im drogą naturalną. Z tego, co powiedziałem powyżej, nie wynika przecież, aby należało utrzymywać czwarty stan w ciemnocie, ale jedynie, że oświata powinna szerzyć się w średnich i wyższych klasach, t. j. dzięki inicjatywie prywatnej, dyktowanej przez uczucia humanitarne, ponieważ takie uczucia oraz ich wyniki, są normalnemi czynnikami oświaty, wpływającemi korzystnie zarówno na dających, jak i na odbierających.

Tyle o możliwości opacznego rozumienia moich słów. Zanim skończę, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na dziwny pewien kontrast. Bezpieczeństwo uważane jest u nas za cel tak wzniosły, że dla osiągnięcia go prawo może pozbawiać wolności osobistej a państwo może zmusić podwładnych do narażania swego życia, jak np. w wypadku wojny, podczas której ludzie, broniący swojej ojczyzny, wystawieni są na największe niebezpieczeństwo. Takie bezwarunkowe podporządkowanie interesów pojedynczych osobników interesom ogółu, nie jest uważane ani za niesprawiedliwość, ani za okrucieństwo. Natomiast w rozpatrywanym przez nas wypadku uważa się za okrutną niesprawiedliwość pozbawianie obywateli kraju pomocy państwowej w sprawie wychowywania ich dzieci. Zarówno w pierwszym jak w drugim przypadku bezpieczeństwo publiczne jest głównym i decydującym celem; jednakże w przypadku pierwszym uważanem jest za sprawiedliwe

zmuszanie obywateli nawet do narażania życia, w przypadku zaś drugim uważa się za złe pozostawienie ich własnemu przemysłowi w sprawie stanowienia o wykształceniu własnem, oraz o kształceniu swoich dzieci. Uważa się za złe odbierać jednemu, aby dawać drugiemu.

Należy wziąć pod uwagę jedną jeszcze okoliczność. Jeśli sprawie popytu i podaży pozostawimy w sferze umysłowej taką samą bezwzględną swobodę działania, jaką pozostawiamy jej w sferze gospodarczej, jeśli nie będzie tamowało drogi osobom, hojniej obdarowanym przez naturę, w takim razie kształcenie, szerzenie oświaty inne da wyniki, aniżeli te, jakie przed chwilą opisałem: spowoduje ono spotęgowanie odporności ogółu oraz da wiele innych korzystnych rezultatów. O ile bowiem ludzie warstw niższych będą zmuszeni zdobywać dla dzieci swoich oświatę taką samą drogą, jak zdobywają dla nich pożywienie i odzież, skorzystają na tem na czysto dzieci najzdolniejszych z pośród nich: energiczni i rozumni rodzice, przejęci szczerze poczuciem swojej odpowiedzialności, będą starali się o zdobywanie dla dzieci swoich wyższego stopnia oświaty, aniżeli rodzice lekkomyślni i leniwi; o ile zaś charakter przekazujemy drogą dziedziczności naszemu potomstwu, wynik ogólny będzie taki, że dzieci lepszych jednostek będą w możności większego korzystania z dobrodziejstw nauki i lepiej będą przysposobione do życia, aniżeli dzieci osobników gorszych. Wynikiem takiego stanu rzeczy będzie mnożenie się i dobór zdolnych, zamiast mnożenia się i doboru niezdolnych.

Zasada w prowadzeniu interesów.

Z pomiędzy wielu niedawno wysłanych na jaw wypadków nadużycia zaufania przez urzędników biurowych, w szczególny sposób zwraca na siebie uwagę jeden, już przez samo swoje nieprawdopodobieństwo. Zdrowy rozsądek nie może zupełnie pogodzić się z myślą, aby człowiek, który był prezydującym „Korporacyjnego Towarzystwa Prawa“ (Incorporated Law Society) a także prezydującym dyscyplinarnego jego komitetu — mógł dopuścić się sprzeniewierzenia znacznych sum, należących do klientów tego towarzystwa. „Człowiek taki musi zasługiwać przecież na bezwarunkowe zaufanie“—powiedzianoby każdemu, kto pozwoliłby sobie na chwilę chociażby powątpiewać, czy rozumnie jest tak bezwzględnie osobie takiej wierzyć? Jak widzimy jednak, nieufność taka byłaby w danym razie zupełnie uzasadnioną.

Nieraz dziwiło mnie zaufanie, z jakim ludzie powierzą cały swój majątek i zarządzanie najważniejszymi swoimi interesami swoim pełnomocnikom. „Wszyscy tak robią—myśli każdy z osobna—sądzę, że i ja mogę zupełnie bezpiecznie czynić to samo“. To nieograniczone zaufanie z jednej strony tem dziwniejszem się jeszcze wydaje wobec faktu, że z drugiej strony spotykamy się z zupełnym brakiem ufności, znajdującym wyraz swój w licznych aktach i dokumentach, pozostawionych w rękach adwokatów i będących dowodem braku zaufania względem ludzi, z którymi zawieraliśmy, zawieramy i zawierać będziemy

różne interesy i umowy. Dodają się najrozmaitsze zastrzeżenia i omówienia, aby zamknąć wszelkie drogi do możliwego obejścia prawa, do podejścia oraz do oszustwa. Z chwilą jednak, gdy przedsięwzięliśmy wszystkie te środki ostrożności, zdaje nam się, że zdobyliśmy absolutne bezpieczeństwo i że nasza rola zupełnie jest już tem samem ukończona. Pozostawiamy wszystko w rękach pełnomocnika, mając niezłomną wiarę, że będzie on postępował uczciwie i to pomimo całej wątpliwej reputacji, jaką mają przedstawiciele sprawiedliwości i prawa! Dziwna niekonsekwencya!

Przed wielu laty, będąc obecnym na posiedzeniu zarządu pewnego klubu, poważnie obraziłem sekretarza uwagą, że podstawowym prawidłem w sprawach administracji, jako też we wszelkich wogóle sprawach, powinna być zasada następująca: „Nie należy przypuszczać, że wszystko idzie dobrze, dopóki nie przekonamy się, że idzie źle, ale raczej należy przypuścić, że wszystko idzie źle, dopóki nie przekonamy się, że wszystko idzie dobrze“. Może słowa podobne nie były przyjemnymi dla osoby, pozostającej na odpowiedzialnym urzędzie; uważam jednak, że powinny one być pewnikiem dla wszystkich, zainteresowanych zarówno w sprawach prywatnych jak publicznych. Jakkolwiek prawo to zapoznawanem bywa w wielu ważnych wypadkach, ogół ludzi jednak ulega mu — jeżeli nie jawnie, to pokryjomu—w sprawach mniejszej wagi.

W jakim celu np. mielibyśmy żądać kwitów i poświadczeń, jeżeli nie w celu zabezpieczenia się przed możliwością wyzysku? Pocóż przewiduje się w kontraktach rozmaite szczegóły i zawarunkowuje się rozmaite punkty karne w razie niespełnienia tych lub owych warunków?

Pocóż włącza się do decyzji parlamentu mnóstwo omówień, jeżeli nie w celu uniemożliwienia uchylań się od tych postanowień? Wszystko to są dowody, stwierdzające prawdziwość założenia, że sprawy źle pójdą, jeżeli nie postaramy się, aby szły one dobrze. Czyż każdy z nas nie spotyka na każdym kroku oczywistych takich dowodów, jak przekupywanie służby przez dostawców, jak dawanie poręczawicznego rozmaitym pośrednikom, jak używanie, jako zachęcającej firmy, nazwisk utytułowanych osób, stawianych na czele zawiązujących się przedsiębiorstw handlowych? i t. p. Pomimo to wszystko jednak, nie słabnie ufność wśród pewnych sfer, wszelki zaś sceptycyzm surowo bywa krytykowany. Przypatrzmy się np. historii krachów bankowych, powtarzających się niemal corocznie i będących zawsze wynikiem ślepej wiary w to, że wszystko idzie pomyślnie, na tej zasadzie jedynie, że nie zostało dowiedzionem, aby szło źle.

Pomimo to, że członkowie zarządu, którzy dopuścili się sprzeniewierzenia, dyrektorowie banków, którzy na osobiste swoje wydatki czerpali pieniądze, będące własnością firmy, zarządy, puszczające się na rozmaite nierozsądne, szalone spekulacje, same ostrzegały od czasu do czasu publiczność, że należałoby w porę przedsięwziąć rozmaite środki ostrożności, w porę opatrzyć się, aby wykryć zły stan rzeczy, zanim doprowadzi on do katastrofy — nikt jednakże w czas o to się nie zatroszczył.

Komisje rewizyjne we wszelkich przedsiębiorstwach handlowych, wybierane są zazwyczaj bardzo niedbale i lekkomyślnie. Oczywiście jednak sam fakt obierania takich komisyj, świadczy o wyniku praktyki, wskazującej,

że członkowie zarządu oraz dyrektorowie niezawsze dają zgodne z istotnym stanem rzeczy sprawozdania ze stanu finansów instytucji i wskutek tego podlegać muszą zawsze kontroli ludzi niezależnych. Skoro powszechnie uznana jest konieczność takiej rady nadzorczej, należałoby przypuścić, że zwróconą będzie uwaga na to, aby kontrola ta przeprowadzana była z całą ścisłością; w rzeczywistości jednak dzieje się zupełnie inaczej; czynność ta wykonywaną bywa bardzo powierzchownie i nikt o to szczególnie się nie troszczy. Z roku na rok sprawozdania komisji rewizyjnych, głoszą, że osoby, wchodzące w skład tych komisji, wyjechały lub były nieobecne, okazuje się jednak z następnego sprawozdania, że osoby te ponownie zostały wybrane, tak, że nieprawność ich czynów oraz właściwy ich stosunek do zarządu, nigdy nie mogą być wykryte. Zupełnie zapomina się o tem, że kontrola tem będzie skuteczniejszą, im częściej zmieniać się będzie skład członków komisji. Niewątpliwie dużą część winy przypisać należy obawie sprawienia niezastużonej często przykrości tym, których wypadłoby złożyć z urzędu, ale wszak przykrości podobne nieuchronne są przy wszelkiej samoobronie. Tak samo, jak ubezpieczenie dobytku na wypadek ognia lub siebie samego na wypadek nieszczęścia, nie może się obejść bez ofiar pieniężnych, tak samo nie można bez poniesienia pewnych ofiar moralnych ubezpieczyć się na wypadek oszustwa lub podejsia.

Jakkolwiek utarło się pojęcie, że serce człowieka nie-skończenie jest zawodne i występne, jednakże ludzie w podobnych wypadkach wolą uważać je za nieskazitelne i najzupełniej zasługujące na zaufanie. Rozumna ufność leży wpośrodku, pomiędzy dwiema temi krańcowo-

ściami. Należy zawsze mieć na względzie istniejący obecnie przeciętny typ natury ludzkiej, skłonnej do zbaczania z prawej drogi, o ile pozostawione jej będą najmniejsze po temu furtki i że wskutek tego — jedynie rozumne i przewidującym postępowaniem będzie ciągle odszukiwanie tych furtek i zamykanie ich w czas i porę.

R. C.

Dr. Feliks Auerbach
Profesor Uniwersytetu Jenajskiego.

WŁADCZYNI ŚWIATA I JEJ CIEŃ.

Odczyt o energii i entropii.

V.

Musimy przenieść się teraz na chwilę do ośmnastego stulecia, do czasów, gdy prawie wszyscy wielcy myśliciele byli zarazem filozofami, matematykami i przyrodnikami. W tem stuleciu, dzięki pracy ducha Leibniza i Huygensa, braci Bernoullich i Lagrange'a, poznane zostało stopniowo pewne twierdzenie, które, lubo z początku miało względnie ograniczone pole stosowalności, już kryło w sobie zarodek jednego z najpiękniejszych owoców, jakie wydał następny, obecnie już też należący do przeszłości, wiek dziewiętnasty.

Pomienione twierdzenie wypowiada coś o dwu pojęciach, które wówczas nazywano siłą żywą, oraz siłą martwą lub siłą napięcia a które my dzisiaj wolimy nazywać energią żywą, albo energią aktualną i potencjalną. Siła żywa jest cechą ciał, znajdujących się w ruchu, jest

ona tem większą, im większą jest masa tych ciał, oraz im prędzej się one poruszają; masie podwojonej odpowiada podwójna siła żywa, podwojonej atoli prędkości odpowiada poczwórna siła żywa (potrojonej—podziwiewna, i t. d.). Przykładem może służyć powołana już raz kula armatnia, której siła żywa, albo—jak będziemy mówili teraz—której energia aktualna (zwana także „energiją kinetyczną“, czyli „energiją ruchu“), rośnie proporcjonalnie do jej masy, oraz kwadratu jej prędkości, tak, iż kula cztery razy lżejsza, może wyrzucić to samo działanie, jeżeli prędkość jej jest dwa tylko razy większa. Natomiast siłę napięcia, energię napięcia, albo energię potencjalną, może posiadać także ciało, znajdujące się w stanie spoczynku, o ile tylko posiada dążność do wykonania ruchu, skoro daną mu będzie po temu sposobność. Energię napięcia posiada np. naciągnięta sprężyna zegarka, albo kula, zawieszona na krótkiej nici pod sufitem pokoju.

Kula ta znajduje się, że tak powiemy, w stanie napięcia względem podłogi, w stanie, który można scharakteryzować w sposób prosty, lecz trafny, tak oto: chciałyby spaść, ale nie może. Jeżeli przecież spalimy nić, tedy kula rzeczywiście spadnie, jej energia potencjalna zamieni się stopniowo w energię aktualną, zupełnie tak samo, jak odbywa się to w wypadku sprężyny zegara w ciągu dwudziestu czterech godzin. Napięcie kuli ciągle się zmniejsza, rośnie natomiast ciągle jej prędkość.

Jeżeli w każdym podobnym wypadku zmierzyć w każdej chwili zarówno siłę napięcia, jak siłę żywą, tedy okaże się, że każda z nich przybiera wprawdzie ustawicznie różne wartości, ale suma ich pozostaje przytem zupełnie niezmienioną. To stanowi owo, przeszłe już od więcej niż stu lat do kapitału żelaznego nauk przyrodniczych, twier-

dzenie o sile żywej, o stałości siły żywej i siły napięcia, albo, jak mówimy obecnie: twierdzenie o zachowaniu energii mechanicznej. Mechanika jest nauką o ruchach i dla tej wielkiej dziedziny włącznie z jej zastosowaniami do najróżniejszych gałęzi techniki, twierdzenie to stało się najtrwalszą podstawą. Praca mechaniczna, zupełnie tak jak materya, nie może powstać z niczego; wszystkie maszyny, jakie buduje człowiek w swej dążności do postępu, mogą zmierzać jedynie do kierowania pracy mechanicznej w dogodniejsze koryta, do przystosowywania jej w każdym poszczególnym wypadku do danych warunków. Jak sztuka kucharska umie przyrządzać potrawy smacznie i w sposób urozmaicony, lecz ich wartości pożywnej nie jest w stanie podnieść ponad pewną, z góry już tkwiącą w nich miarę, podobnie żaden mechanizm nie dostarcza więcej energii, niż się weń włoży. Jakkolwiek wielkim i bogatym będzie rozwój przyszedłszy mechaniki i techniki mechanicznej—nigdy nie będzie ona w stanie przekroczyć granic, zakreślonych przez twierdzenie o zachowaniu energii mechanicznej.

VI.

Jesteśmy już w drodze na wysoką górę i moglibyśmy wyobrazić sobie, żeśmy już dosięgnęli szczytu, gdybyśmy nie mieli oczu, aby widzieć i przekonać się, żeśmy doszli zaledwie do szataśu, przez klub alpejski na średniej wysokości rzuconego. Albowiem każdy rozmyślający człowiek może ustanowić, że nakreślony dotychczas obraz, jest jeżeli nie prawdziwy, to przynajmniej niezupełny. W tym celu wystarczy powrócić do przykładu kuli, spadającej na podłogę po spaleniu nici. Kula ta, traci przy

spadaniu stopniowo swą energię potencjalną, ale nabywa przytem aktualną i niezadługo przed dotknięciem się ziemi, cała jej siła napięcia zamieniona jest w siłę żywą. Cóż atoli dzieje się w następnej chwili? Napięcie względem ziemi znikło, albowiem kula dosięgnęła podłogi; ale znikła też i energia żywa, boć kula leży spokojnie na ziemi; zdaje się, że od jednego razu energia ta została zniszczona. Ciało nie posiada już wogóle energii, została ona zniszczona i prawo zachowania energii brzmi, jak urągawisko. Rzeczywiście, tak w tym, jak w niezliczonych podobnych wypadkach, jest ono fałszywe, rzeczywiście, energia mechaniczna zginęła. Ale przyroda jest od takich strat zabezpieczona, jak człowiek od ognia, z tą tylko różnicą, że jest ona ubezpieczona u siebie samej — bo też u kogóż innego mogłaby się ubezpieczyć? Stratę energii mechanicznej wetuje odszkodowanie, które, przy ściślejszej nieco obserwacji, łatwo możemy stwierdzić i które bardzo rozmaitej może być natury. Podłoga może np. pod działaniem uderzenia uleść ściśnięciu i przejść z kolei w stan napięcia, może zawrzeć teraz energię potencjalną, która może się objawić w ten np. sposób, że podłoga zacznie wydawać dźwięki. Albo też — i ten wypadek rozpatrzmy przedewszystkiem — podłoga nagrzewa się przez uderzenie, powstaje ciepło.

Przenieśmy się teraz w krąg wyobrażeń, panujących przed stu laty i uwzględnijmy, że w rozwijającej się w sposób ciągły dziedzinie, sto lat wystarczy, by wyobrażenia najpierwszych ówczesnych umysłów zdawały się nam dzisiaj wprost dziecinnymi. Wyobraźmy sobie tedy dziecko, które po r z pierwszy obserwuje zamkniętą w szklance poczwarkę i pewnego pięknego dnia przybiega wzburzone do ojca i mówi: dziś stały się dwa cuda, po pierwsze,

poczwarka znikła i powtóre, zjawił się śliczny motyl! Ojciec uśmiechnie się i odpowie: niema tu dwóch cudów, niema nawet jednego cudu, poprostu poczwarka przemieniła się w motyla.

Owóz przed stu laty uważano ciepło za substancją i w powyższem doświadczeniu ze spadającą i ogrzewającą podłogę kulą, widziano dwa cuda: ginęła mechaniczna energia, albo — mówiąc krócej — praca, i z niczego powstawała substancja—ciepło—i fakt ten usiłowano wytłómaczyć za pomocą rozmaitych sztucznych wyobrażeń. My obecnie mówimy, jak ojciec do dziecka: jest to bardzo proste, ciepło nie jest wcale substancją, ciepło jest też rodzajem energii, poprostu energia mechaniczna przekształciła się w energię cieplną, praca—w ciepło.

Kto podróżował w okolicy Karstu lub podobnych formacyj wapiennych, ten zna dwa z najciekawszych zjawisk przyrody, napotykanych na naszej planecie: dość już zasobna w wodę rzeka, znika nagle w ziemi a w innem znów miejscu wytryska z ziemi rzeka i to nie jak zwykle źródło, ale gotowa, już dość szeroka rzeka. Dość późno dopiero przyszli geologowie do poglądu, że druga rzeka nie jest niczem innem, jak dalszym ciągiem pierwszej i przypuszczenie to potwierdzone zostało w wielu wypadkach prostemi eksperymentami.

Wszystkie te porównania wykazują, że co innego jest sądzić o czemś ze stanowiska zdobytej już wiedzy a co innego ze stanowiska wiedzy, którą dopiero należy zdobyć. Gdy się wie, że gąsiennica, poczwarka i motyl do jednego należą rodzaju, tedy narzuca się wprost myśl o przekształcaniu się; jeżeli się nie wie tego, tedy trzeba pewnej odwagi, by pomimo wielkich różnic w ich zewnętrznej postaci, twierdzić, że są one wszystkie jednego

rodzaju. A ruch i ciepło są dla człowieka, nieobytego z niemi bliżej i nie znającego nauki spółczesnej, zjawiskami tak różnemi, że odwaga naukowa, niezbędną dla wzajemnego ich powiązania, na niemniejszy zasługuje podziw, niż cechująca to powiązanie przenikliwość naukowa.

Prawda, że odwaga staje się lekkomyślnością, jeżeli nie jest dostatecznie uzbrojona. Kto chciałby twierdzić, że śledź może się zamienić w szczupaka, naraziłby się po prostu na śmieszność. Ale Włoch Grassi zdobył sobie w ostatnich czasach sławę dowiedzeniem, że pewna znana oddawna ryba morska nie jest niczem innym, niż nieznaną przed tem postacią młodzieńczą węgorza, jakkolwiek nie ma ona z nim najmniejszego podobieństwa. Kto twierdzi, że ciepło jest jednorodne z energią mechaniczną, ten musi poprzeć to rozstrzygającym dowodem, musi okazać, że gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób praca przekształca się w ciepło, zawsze na miejsce określonej ilości pracy zjawia się określona ilość ciepła, oraz że stosuje się to i do odwrotnego wypadku przemiany ciepła w pracę. Posiadamy jedności miary pracy, w praktyce kilogramometr, w nauce erg; z drugiej strony, istnieje również jedność miary ciepła, zwana kaloryą (ciepłostką); jest to ilość ciepła, niezbędna, by nagrzać jedność ilości wody (w praktyce wodę wagi jednego kilograma, w nauce wodę o masie jednego grama) od 4° do 5° Celsyusza. Trzeba tedy okazać, że niezależnie od tego, czy przekształcenie pracy w ciepło odbywa się przez uderzenie, czy przez tarcie, przez ciśnienie czy przy pośrednictwie prądu elektrycznego, czy sprowadza je proces prosty czy zawły — zawsze trzeba stracić tyle a tyle kilogramometrów, względnie ergów, by powstała jedna kalorya. Dowód ten został przeprowadzony w drugiej połowie ubie-

głębokiego stulecia w niezliczonych wypadkach i doprowadził do następującego wyniku: nagrzanie jednego kilograma wody wymaga tego samego nakładu pracy, co podniesienie 428 kilogramów wagi na wysokość jednego metra—stosunek prawdziwie niespodziany dla profana—428 kilogramometrów są więc równoważne jednej kaloryi praktycznej, albo 42 miliony ergów są równoważne jednej kaloryi naukowej. Liczba ta nazywa się mechanicznym równoważnikiem ciepła, albo krócej równoważnikiem ciepła; jest to w szatę trzeźwej cyfry przybrana jedna z wielkich tajemnic przyrody, jakie człowiek z postępem nauki od niej wywalcza; jest to jedna z liczb, które trafnie nazywa się powszechnymi stałymi przyrody.

VII.

Gdy przełamano pierwsze lody, gdy poznano, że ruch i ciepło są równoważnymi postaciami jednej i tej samej potęgi—energii—nie wahano się już rozwinąć nową myśl aż do ostatnich jej konsekwencji i postawić twierdzenie: wszystkie czynne siły, stanowiące podstawę tak rozmaitych zjawisk przyrody, ruch i ciepło, światło i dźwięk, elektryczność i magnetyzm, chemizm i krystalizm—są tylko różniami, znajdującymi się w określonym stosunku wzajemnej równoważności, postaciami energii, która w ten sposób staje się poniekąd samowładczynią przyrody. Wszystkie procesy w naturze mają tedy być albo czystymi zmianami miejsca, albo, jak mówi się: wędrówkami energii; albo mają być zmianami postaci, albo, jak się mówi: przemianami energii, to jest wędrówkami od napięcia do ruchu, od ruchu do elektryczności, od elektryczności do ciepła, od ciepła do światła.

Wprawdzie już od dawnych czasów posiadała nauka przyrodnicza piękną dewizę: dewizę powinowactwa sił przyrody. Ale między tem słowem a nową myślą istnieje różnica taka, jak między nocą mglistych spekulacyj a światem ścisłej wiedzy przyrodniczej. Powinowactwo sił przyrody było tak słabo odbitą monetą, że otwierało naościę drzwi wszelkiego rodzaju falsyfikatom. Każda zewnętrzna analogia, każdy pozorny związek, mógł uchodzić za prawdziwe powinowactwo, jakgdyby dwaj panowie Müller koniecznie musieli być z sobą spokrewnieni, gdy nawet prawdopodobieństwo, że są krewnymi, jest nadzwyczaj małe. Nowa myśl nie dopuszcza takich wniosków, albowiem stawia inne zupełnie wymagania: w każdym wypadku wymaga ona dowodu równoważności, to jest dowodu, że z określonej ilości ergów powstaje zawsze określona ilość np. energii elektrycznej i odwrotnie, czem jest dla energii mechanicznej iloczyn ilości prądu przez napięcie. Jeżeli równoważność ta daje się dowieść dla wszelkich postaci energii, to można je rachunkowo wyrazić jedne za pomocą drugich, można je wszystkie wyrazić w tych samych jednościach miary, np. ergach — i wówczas wartości muszą czynić zadość temu samemu prawu — w rozszerzonych ramach — któreśmy w ciasnych ramach zjawisk ruchowych poznali, jako prawo zachowania energii mechanicznej. Tamto prawo, jakieśmy widzieli, traci swą stosowność, skoro zjawiskom ruchowym towarzyszy ciepło procesy elektryczne, i t. d.; ale stratę tę wetuje coś cenniejszego jeszcze i więcej obejmującego — wielkie prawo zachowania energii.

Teoretyczne i doświadczalne prace, przeprowadzone od środka ubiegłego stulecia, wyniosły prawo to ponad wszelką wątpliwość. Suma wymierzonej w ergach energii

wszechświata jest niezmienną, jest ona również niezmienną dla każdego układu cząstkowego, jeżeli tylko układ ten jest wyizolowany dla energii w sposób analogiczny, jakśmy wyżej rozpatrywali go, jako wyizolowany dla substancji, jeżeli nie znajduje się on z resztą świata w stosunku wymiany energii (co jak tu, tak i tam, zawsze tylko przybliżenie będzie mogło być urzeczywistnione); układowi takiemu można dać nazwę układu energetycznie zupełnego. Lodownia jest np. próbą, acz wysoce niedoskonałą. sporządzenia układu „adyabatycznego“ dla szczególnej postaci energii, dla ciepła; busoła żeglarska rozwiązuje podobne zagadnienie dla magnetyzmu okrętu. Jeżeli dany układ nie jest zupełny, to można go uzupełnić przez dodanie układów, z którymi znajduje się on w stosunku wymiany energii; sam on mógłby np. tracić energię, ale w takim razie układ uzupełniający musiałby tyleż energii nabywać, w układzie zupełnym energia byłaby więc znowu stałą.

Stałą jest—podkreślmy to raz jeszcze—tylko ogólna suma wszelkich energii w układzie wyizolowanym, nie zaś np. ilość ciepła lub energii elektrycznej—całkiem tak, jak w owej szklance tylko ilość gąsienic, poczwerek i motyli wziętych razem była stałą, gdy każdy z tych trzech składników może się zmieniać. Te właśnie przekształcenia stanowią najciekawszą część wszelkich zjawisk przyrody. Zasada zachowania energii stała się gwiazdą przewodnią na niebie fizyka, pozwalającą mu nie błądzić i wyszukiwać nowe ścieżki. Gdziekolwiek odbywają się przemiany energii, w swobodnej przyrodzie, w laboratorium uczonego lub fabrycy przedsiębiorcy, zawsze suma energii, mierzonej we wszelkich jej postaciach tą samą miarą, pozostaje nie-

zmienną—i gdzie „analiza“, która całkiem jest analogiczna do analizy chemika, „nie wypada“ — tam albo się wkradła omyłka, albo też w rozpatrywanym procesie jest jeszcze ukryta jakaś tajemnica dotycząca energii.

Ale nie najmniejszym, być może, postępem, jaki zawdzięczamy naszej zasadzie, jest, że podobnie jak zasada masy w chemii, usunęła ona wszelkiego rodzaju fantastyczne rrrzonki lub przynajmniej uniemożliwiła im czepianie się za poły nauki. Mamy tu na myśli—jak zapewne zgadł już niejeden czytelnik—przedewszystkiem sławne oddawna lub lepiej może oddawna osławione, zagadnienie o perpetuum mobile; kto dzisiaj ugania się za tem widmem, ten ma równie mało pojęcia o podstawach fizyki, jak kwadrator koła o podstawach matematyki.

A jednak nie należy drwić z perpetuum mobile! Bo każde rozczarowanie, jakie sprowadziło ono w ciągu stuleci, przyczyniło się do przygotowania zasady zachowania energii; wprawdzie do przygotowania jednej tylko, można nieledwie powiedzieć: „lepszej“ jej połowy, mianowicie twierdzenia, że energia nie może powstać z niczego. Albowiem perpetuum mobile miało być maszyną, któraby nietylko—jak to wskazuje znaczenie literalne nazwy—ustawicznie się poruszała, ale któraby również dostarczała nieograniczenie pracy i to nie będąc podsycana z zewnątrz, czyli dostarczałaby pracy z siebie samej. Taka maszyna tworzyłaby energię—i to, że wszystkie próby w tym kierunku kończyły się niepowodzeniem, musiało stopniowo nasuwać świadomość, że nie jest to kwestya mniejszej lub większej zręczności, lecz kwestya zasadnicza, że energii wogóle stworzyć nie można. Później dopiero przyłączyła się do tego druga połowa naszej zasady, głosząca, że energia nie może również ginąć.

W wykładzie o charakterze tak rzeczowym, jak ni-niejszy, niema miejsca na liczne szczegóły natury osobistej. Ale posunęlibyśmy tę rzeczowość do przesady, gdybyśmy nie wymienili tutaj imion wielkich mężów, które historia związała na wsze czasy z jednym z najdonioślejszych postępów nauki. Imion tych jest trzy, podobnie jak trzy etapy dają się stwierdzić w rozwoju zajmującej nas teorii. Pierwszym jest mąż zewnętrznie prosty, lecz wewnętrznie pełen dziwnego światła, którego główna zasługa polega wprawdzie na twierdzeniu tylko i postulowaniu, nie zaś na przeprowadzaniu ścisłych dowodów; ale wszak i taki Sokrates dał w gruncie rzeczy jedynie twierdzenia i postulaty a niemniej jednak był wielki. Pierwszym, kto jasno i w sposób wszechobjmujący postawił postulat iż wszystkie siły (mybyśmy powiedzieli: wszystkie energie), w przyrodzie muszą znajdować się w ogólnym wzajemnym stosunku równoważności, bo w przeciwnym razie musiałaby ona być chaosem a nie tą uporządkowaną całością, którą poznajemy i podziwiamy, człowiekiem, który specjalnie dla pracy i ciepła usiłował przeprowadzić myśl ilościowej równoważności, acz z niewystarczającymi środkami a przede bez ostatecznego powodzenia—był lekarz Robert Mayer z Heilbronn w Szwabii, długo zapoznawany i późno nagrodzony sławą, obcy w cechu zawodowych uczonych a ulubieniec geniusza. Gdyby ktoś dzisiaj podał podstawową jego pracę z r. 1842, jako pracę doktorską, to prawdopodobnie—i nie bez pewnej słuszności—odrzuconoby ją, jak odrzucił ją wydawca Mayera (z przyczyn, co prawda, wprost przeciwnych)—a przecież wielka część prac, rzeczywiście dziś podawanych, byłaby niemożliwą bez dzieła Roberta Mayera. Obok niego stoi angielski fizyk i technik Joule, człowiek, który w tak doskonały sposób dopeł-

nia Mayera, dając to, co brakowało tamtemu, że możnaby raczej uważać ich za wzorowe małżeństwo naukowe i małżeństwo to słać, nie zaś przedstawiać tych badaczy, jako rywali i robić z nich mimowolnych bohaterów szowinistycznego sporu. Joule całe prawie swe życie poświęcił dowiedzeniu za pomocą najrozmaitszych eksperymentów na małą i wielką skalę, równoważności pracy i ciepła i ustanowieniu liczby, wyrażającej ich stosunek. Wreszcie Helmholtz, w słynnym swem dziele, ogłoszonym w r. 1847 p. t.: „O zachowaniu siły“, rozciągnął zasadę równoważności w sposób ściśle naukowy na wszystkie postacie energii i okazał, do jakich to prowadzi ona konsekwencyj ogólnych oraz szczegółowych.

VIII.

Dzieje wielu wybitnych odkryć lub wynalazków tak osobliwym biegły trybem, iż bierze pokusa upatrywać w tem niemal coś w rodzaju prawa historycznego. Odkrycie zjawia się, ale świat, otaczający odkrywcę a niedorostły dość pod względem duchowym, nie rozumie go lub rozumie niedostatecznie i częstokroć trzeba całej generacji, trzeba dziesiątków lat, zanim się należyte ów postęp oceni; ale potem następuje zwrot przeciwny, znaczenie odkrycia ulega przecenieniu i ostatecznie nie najłatwiejszem bywa zadaniem zahamować ten pęd przesady i we właściwe go zawrócić tamy. Jest to pewnego rodzaju ruch wahadłowy, występujący na początku wielu procesów fizycznych i duchowych, zanim ustali się równowaga.

Podobnie i tutaj widzimy, że po długim okresie, w ciągu którego zasada zachowania energii zdobywała sobie prawo obywatelstwa, zaczęła się era przeceniania.

Wielu sądziło, że posiadli w niej powszechne lekarstwo na wszelkie braki wiedzy przyrodniczej, ogłoszono ją za jedyne prawo podstawowe wszelkich zjawisk we wszechświecie.

Zanim powrócimy do dalszego ciągu głównego naszego przedmiotu, wstawimy tu kilka uwag. Powie kto: Toż o jednym prawie podstawowym nie może być wcale mowy, bo znamy ich już dwa: zachowanie materji i zachowanie energii. Całkiem słusznie; ale treść istotna obu tych praw jest wspólna, można je ująć w jedną, jedyną zasadę zachowania. Można nawet iść o krok dalej i uważać zasadę zachowania materji za wypadek szczególny zasady zachowania energii, wychodząc z tego, że materja nie jest w ostatniej instancyi niczem innym, jak formą zjawiskową działań energii, wyodrębnioną przez swą wielostronną stateczność, np. statecznym kompleksem działań ciśnienia i świecenia, co uważamy za nosiciela działań energii, za swoisty rodzaj układów energii. Wszelako nie będziemy tu dalej rozwijali tej myśli, której konsekwentne wypracowanie napotyka na pewne trudności i zadowolimy się przedstawieniem zasady zachowania, jako jednolitej zasady podstawowej, obejmującej materję i energję.

Czyż zasada zachowania—i tu powracamy do naszego głównego przedmiotu — jest rzeczywiście jedyną zasadą wszelkich procesów przyrodzonych? W pewnem znaczeniu możnaby na pytanie to odpowiedzieć twierdząco, lecz w znaczeniu głębszem i ostatecznie rozstrzygającym, odpowiedź musi wypaść przecząco—i wystarcza dokładniejszego nieco sformułowania pytania, by przekonać się z łatwością a nawet, by dziwić się, że wogóle można było próbować porzestania na zasadzie zachowania.

Czemże bowiem są procesy w przyrodzie? Czem jest to, co wspólne wszystkim zjawiskom, wszystkim zdarzeniom we wszechświecie? Oczywiście zmiana. Zmieniać się mogą rozmaite bardzo rzeczy, miejsce w przestrzeni, prędkość i kierunek ruchu, ciśnienie, forma i barwa, komórki i organy istot żyjących; ruch przechodzi w ciepło, elektryczność w światło, zmieniają się kolejno i bezustanku życie oraz śmierć. Wszystkie te zmiany zachodzą, pozostawiając niezmienną ilość materii i ilość energii, odbywają się pod ochroną zasady zachowania. Ale czy zachodzą one także na skutek pobudki zasady zachowania? Zapewne, że nie; albowiem wymaganiu, stawianemu przez tę zasadę, staje się oczywiście najprościej zadość wówczas, gdy wogóle nic nie zachodzi. Jeżeliby mnie pozostawiono siedzącego na krześle w ciemnym pokoju, pełnym łamliwych przedmiotów, z jedynym zadaniem nie złamania niczego, to byłbym bardzo głupim, gdybym nie rozwiązał tego zadania tak, że siedziałbym spokojnie na krześle, zupełnie się nie ruszając; mógłbym wprawdzie obracać się z wielką zręcznością wśród owych kruchych przedmiotów, ale to rozwiązanie postawionego mi zadania byłoby niepotrzebnie skomplikowanym. Gdyby zatem istniała tylko zasada zachowania, to w świecie nicby nie potrzebowało zachodzić. Rzuca to na tę zasadę prawdziwe światło i przy swej wspaniałej doniosłości, posiada ono w gruncie rzeczy charakter negatywny, albowiem głosi: przy wszelkich zmianach w przyrodzie ilość materii i energii pozostaje niezmienną.

To też właściwie dziwnem jest, gdy na pytanie o podstawowej zasadzie wszelkich zmian w przyrodzie, odpowiada się: ilość materii i energii nie zmienia się; brzmi to

podobnie, jak gdybym na pytanie, jakim zmianom ulegał Robert Mayer w ciągu swego żywota, odpowiedział: nazywał on się zawsze niezmiennie Robertem Mayerem — albo, aby wyrazić to mniej powierzchownie: pozostawał on zawsze, nawet na szczycie sławy, tym samym prostym i pobożnym człowiekiem; że pozostawał nim, jest to zapewne rzecz bardzo interesująca, ale nie jest to odpowiedź na pytanie, przez jakie przechodził on zmiany.

Jedynym znaczeniem zasady zachowania jest, że nic nie może zająć wbrew niej; ale nie znaczy ono bynajmniej, by na skutek niej, z jej inicjatywy coś rzeczywiście zachodziło. Jest ona władzą nadzorczą, nie przedsiębiorczą. Posiada charakter regulujący, nie wytwórczy.

Antytezy te nasuwają nam pytanie: Czy obok zasady zachowania niema zasady zmian? Zasady, któraby podawała, kiedy coś zachodzi w świecie i co wówczas zachodzi? Od takiej zasady, która wszak ma objąć jednym władzem całą olbrzymią różnorodność wszelkich procesów przyrody, rozumie się, za dużo wymagać nie można; zadowolić się będzie trzeba czemkolwiek wspólnem, ustanowieniem dążności ujawniającej się we wszystkich procesach; już zdumiewająco wiele osiągnie się, skoro się uda: po pierwsze, ustanowić warunki, w których nie zachodzi nic i w których zachodzi coś — i powtóre, gdy coś zachodzi, podać, dlaczego zachodzi to a nie np. zjawisko wprost przeciwne. Takie wbrew wzajem przeciwne możliwości, w rozumieniu czysto logicznem, istnieją przecież zawsze: ciało, jeżeli wogóle nie pozostaje na swem miejscu, może poruszać się naprawo lub nalewo, może stać się cieplejszem lub zimniejszem, zanurzony w roztwór soli kryształ, może się przez roztwarzanie zmniejszać lub przez

osady zwiększać, choroba może doprowadzić do wyzdrowienia lub do śmierci. Są to, jakśmy powiedzieli, możliwości logiczne, czyli myślowe; w rzeczywistości może nastąpić tylko jedno albo drugie, bo inaczej ustałaby wszelka jednoznaczność, oznaczoność, wszelki ład świata; otóż wielkie pytanie, o które tu idzie, dotyczy tego, czy rzeczywiście zajdzie jedno a nie drugie, albo też odwrotnie: drugie a nie pierwsze?

(Dokończenie nastąpi.)

Przełożył M. H. Horwitz

Prof. Dr. Med. **BENEDIKT.**

WIELOŚĆ W ANTROPOLOGII.

Najwięcej wydatku ponosi przyroda w staraniach swych co do zachowania gatunków. Miliony ciałek nasien-nych giną bezużytecznie, zanim jedno z nich użytym zo- stanie dla zapłodnienia. Również wielka moc jajek prze- pada, zanim jedno ulegnie zapłodnieniu. Jeżeli ta zasada olbrzymiego nadmiaru i w obecnych jeszcze czasach istnieje w przyrodzie, dzisiaj, gdy prawdopodobieństwo osiągnięcia wieku dojrzałego, zupełnego dojrzewania płodu i szczę- śliwego rozwiązania, tak wielkie jest dla rodu ludzkiego, to cóż dopiero mówić o owych czasach przedhistorycz- nych, kiedy twory żyjące były reprezentowane jedynie przez strzępy protoplazmatyczne (w okresie przedkomórko- wym, obdarzone siłą asymilacji i rozmnażania się aż do okresu rozwoju ich w dwupłciowe prakomórki, aż do prze- miany ich w istoty złożone, opatrzone dwiema komórkami rodzajnymi, biegunowo przeciwnymi sobie, wreszcie aż do podziału tych organizmów w dwa inne jednopłciowe, i t. d., i t. d.

Niewątpliwie przeto w owych czasach, kiedy mate- rywały żywotne i istoty żyjące mogły powstawać z substan- cji nieorganicznych, wytwarzały się liczne zarodki, które

prawdopodobnie w wielkiej ilości ginęły, zanim udało się im przyczynić do pomnożenia i zachowania zupełnie już ukształtowanego gatunku. Przypuszczenie, jakoby przyroda zdołała stworzyć jedną, jedyną tylko prakomórkę i jedną tylko parę prarodzców, jest więc zupełnie nielogiczne.

Wobec olbrzymiego marnotrawstwa, jakiego w obecnych nawet czasach dopuszcza się przyroda w celu zachowania gatunku, utrzymują niektórzy hypotetycznie, że pierwszymi członkami przodków rodu ludzkiego była pewna znaczniejsza ilość osobników a nie jedna tylko para *).

Skoro jednak na pewnym miejscu ziemi istniały kiedyś czasy, w których z substancyj nieżyjących rozwijały się związki organiczne, z ich różnorodnymi układami atomów i natężeniami a następnie też rzeczywiste żywe komórki, to czemużby te same siły nie były obecnie w różnych częściach naszej planety zdolne do takichże samych lub podobnych czynności? Inaczej mówiąc, nie widzimy żadnego powodu, by wielorakość istniała w jednej tylko miejscowości a nie w wielu, aczkolwiek takowe powstawać mogły w różnych okresach czasu.

Łatwo zrozumieć, że siły twórcze, działając w różnych miejscowościach i w różnych okresach czasu, wytwarzały pewne różnice, które in statu nascendi (w chwili powsta-

*) Wobec tej zasady upaść powinno przypuszczenie, iż rozmnażanie się, jako potomstwa jednej pary, możliwem było li tylko dzięki kazirodztwu. Na rzucane pytanie, czemu przyroda tak szasta swemi środkami, iż postępowanie jej wygląda jak marnotrawstwo? — odpowiedzieć możemy to tylko, iż bezwątpienia nie jest w stanie osiągnąć swych celów tańszym kosztem.

wania), nadawały powstającemu gatunkowi pewne odmienne cechy, najdobitniej przejawiające się w rasach, znacznie od siebie odległych. Rasy: białe, żółte, brunatne, czarne i fioletowe—powstały zatem nie wskutek „przystosowania się” już po stworzeniu, lecz wskutek „pierwotnego usposobienia“.

Wpływ miejscowości i czasu odbił się nietylko na cechach ogólnych całych rodów, lecz nawet na różnicach, istniejących wśród oddzielnych większych grup; nie ulega np. wątpliwości, że olbrzymie różnice, zachodzące wśród Czecho-Słowian lub Serbo-Kroatów, i t. p., istniały już od samego początku, t. j. od pierwszego ich powstania.

Nie ulega już obecnie najmniejszej wątpliwości, że pierwotny Europejczyk powstał w Europie, pogląd zaś, jakoby przybył on z Azji, oddawna rzucony został do lamusa naukowego. Chyba tylko jako wynik gnuśnego przyzwyczajenia, powstała następnie nauka o wywędrowaniu z Europy, wraz z jej wszelkimi kombinacjami fantastycznymi, o których nie śniło się nawet w niebańskim biurze podróży.

Wędrowki narodów, podczas których rasy osiadłe do szczętnie nieraz ginęły, nie ulegają wątpliwości; nietrudno poznać ich przyczyny; nie można jednak utrzymywać, by wędrowki te przeczyły pogładowi o wielorakiem powstaniu w wielu naraz miejscowościach.

Mania wyprowadzania gatunku z jednej pary prarodzciców, spowodowała również wielce mylną naukę, dzięki której usiłowano zupełnie obce rasy łączyć wzajem z sobą, li tylko na podstawie jednakich pierwiastków mowy i jednakowego jej rozwoju. „W ten sposób powstało również najgenialniejsze głupstwo historyczne, mianowicie nauka o Aryjczykach“.

Mowa powstała, ponieważ człowiek posiada narządy mowy — órodkowe i obwodowe. Wkrótce instynktywnie poznano, jak wielkie znaczenie ma mowa w walce o byt. Zasadnicza tożsamość usposobienia i skłonności, w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, u podobnie zorganizowanych ludzi, była powodem podobnych do siebie wyników.

I dziś wszak widzimy, że nieraz zupełnie teżsame pomysły rodzą się jednocześnie w mózgzach rozmaitych osobników i zdaje mi się, że ludzie pierwotni w takich razach, walcząc o pierwszeństwo idei, nie obrzucali się obelgami, jak to obecnie ma miejsce wśród uczoneg.

Wszelkie przyrządy, jakoto: kamienie klinowate lub w kształcie noży, pociski, włócznie i tarcze, były niewątpliwie samodzielnie wymyślane przez różnorodne narody a przy zetknięciu się takowych pomiędzy sobą, przyjmowano wszystkie te „postępy“, kto zaś nie był w stanie „iść naprzód“, ten ginął lub stawał się niewolnikiem. †

Toż samo zachodziło w kwestyi mowy, stanowiącej także potężny oręż w walce o byt. Przyjmowano lepsze, szersze i bogatsze, skoro tylko istnieć zaczęła bierna choćby zdolność poznawania i zdobywania. Rozmaite rodzaje mowy i przynależne do nich plemiona, powstały pierwotnie wskutek różnorodności organizacyi, która, w miarę dalszego rozwoju, wciąż zwiększała zachodzącą od samego początku różnicę. Nawet ucisk zwycięzcy nie mógł usunąć zbyt wielkich różnic.

To, co w pewnym okresie czasu było wspólnem, rozdziałało się z czasem wskutek różnic w słuchu, w języku, w temperamentie i w sposobie myślenia—a nowe przygody znieśniały do nowych wynalazków i przekształceń.

Powstały więc dyalekty i rozmaite postacie mowy, noszące jednak wybitne znamiona dawniejszego wspólnego pochodzenia.

Gdyby obecna ludzkość nagle zginęła pod gruzem i kamieniami a przyszli prahistorycy znaleźliby kiedyś te same instrumenty—mianowicie telefony—zarówno w Tokio i Tomsku, jak w Paryżu, w Konstantynopolu, w Kopenhadze i w Walladolid — i gdyby ówczesna technika po wielowiekowych sporach uczonych, zrozumiała wreszcie znaczenie tego przyrządu, wówczas w głowach tychże mędrców przyszłości powstałoby niewątpliwie pojęcie o „rasie telefonowej“ z wieku XIX.

Podobna idea przyszłości śmiech w nas budzi, chociaż poważny zachowujemy wyraz twarzy, gdy wśród ras białych wymawiamy wyraz: Aryjczycy.

A jednak uzasadnienie białej rasy aryjskiej również jest logicznie ściśle, jak rasy telefonowej.

Pierwotnie istniało bezwątpienia mnóstwo ras białych z których wiele zginęło, inne zaś w rozwoju swym zbliżyły się ku sobie—w rozmaitych właśnie grupach. Rasy pierwotne wzajemnie połączyły się z sobą, głównie wskutek zawojowań, poddaństwa i wyzwolenia, przyczem duchowe ich życie wzbogacało się i kształtowało. Im czystsza pozostała pewna rasa kulturalna, tem niższe zajmuje stanowisko i tem trudniej jej współzawodniczyć z innemi. Co się zaś tyczy „nizkich“ ras, to badając historię rozwoju, niepodobna utrzymywać, że rasy te nie są zdolne do najwyższego rozwinięcia się przy sprzyjających warunkach i do wzbogacenia ludzkości nowemi zdobyczami ducha.

Przypuściwszy na zasadzie praw przyrody, iż gatunki powstały z licznych prarodzców, tem mniej utrzymywać

możemy, jakoby cały świat z jednej tylko prakomórki się rozwinął. Skoro budowniczo wio zdołali z tych samych kamieni pobudować rozmaite gmachy indyjskie i egipskie greckie i rzymskie, bizantyjskie i gotyckie, publiczne i prywatne—a to wedle zasadniczego opracowania kształtów kamienia, jakoteż podstawowych idei budownictwa — skoro kucharka potrafi z różnych gatunków mąki, za pomocą drobnych zmian mechanicznych, chemicznych i termicznych najrozmaitsze wytwarzać potrawy mączne i le guminy — to czyżby jedna tylko przyroda z ciasta protoplazmatycznego, wśród tak licznych a różnorodnych warunków, jedną tylko pierwotną postać zdolną była stworzyć!

Powodem tych jednostronnych pojęć rozwojowych są liczne analogie, zachodzące w budowie narządów stworzeń wyższego i niższego rzędu — a przede wszystkim w obrazach niższej organizacyi i dalszego rozwoju takowych w życiu zarodkowym. Obecnie jednak wiadomo już, jak dalece różnią się pomiędzy sobą nitki nasienne i jajka rozmaitych gatunków a bardziej jeszcze zapłodnione jajka od pierwszej chwili rozwoju.

Gdyby pogląd ewolucyjny o pochodzeniu wszystkich gatunków od jednej komórki, był istotnie prawdziwym, to częściej powinno być wzajemne rozplądianie się i dalsza zdolność rozrodcza odmiennych gatunków.

Obrazy embryologiczne wykazują jedynie, że przyroda pracuje nad pokrewnymi materyałami i przy pomocy pokrewnych pomysłów co do budowy i co do urządzenia. To, co się nam wydaje wyższą lub niższą organizacją, jest skończonem w swoim rodzaju harmonijnem arcydziełem.

Wszelkie zarodki i płody w pewnych okresach swego rozwoju, przypominają w zupełności niższe gatunki, nie

jest to jednak rozwój wsteczny, lecz urządzenie niezbędne w danym okresie, teratologiczne (potworności) zaś zjawiska, nie są cofaniem się wstecz, lecz tylko powstrzymaniem w rozwoju pewnego gatunku lub osobnika.

Pomimo upadku teorii o rozwoju całego świata z jednej, jedynej organizowanej prapostaci, fakty embryologiczne nie tracą ze swego poprzedniego znaczenia.

Podawany przez Biblię porządek powstawania różnych stworzeń, prawdziwszym się wydaje, niż obecnie uznawany. Legenda była wynikiem mądrości wszystkich cywilizowanych narodów: hamickich, semickich i indyjskich a opierała się na słusznem przypuszczeniu, że wszelkie później powstające stworzenie, musiało posiadać w gotowym już świecie wszelkie życiowe warunki, niezbędne dla bytu jego i rozmnażania się. Stara legenda nie pomyliła się nawet co do tego, iż stworzenia powstały z substancyj nieorganicznych, t. j. „z gliny i z prochu“.

Dawni mędrcy nigdy nie zauważyli, by jeden gatunek powstał z innego a my też nie mamy żadnych w tym kierunku dowodów. Wielu wprawdzie uczonych hołduje teorii przemiany gatunków, lecz jest to dowolność a nie dowiedziona prawda. Gdyby pogląd o powstaniu całego świata żywego a szczególnie zwierzęcego, z jednej prakomórki, istotną był prawdą, wówczas moglibyśmy lapidarnym stylem pięcioksięgu, w następujący wyrazić się sposób: Z początku była przyroda tak naiwną i tak jeszcze niezręczną, że potrafiła z substancyj nieżywych, stworzyć jeden tylko rodzaj komórek a jednocześnie tak była niechętną do pracy, iż istotnie jeden tylko ten gatunek wy myśliła. Z biegiem czasu dopiero nabrała pewnego esprit d'escalier i twórczego natchnienia, wskutek czego natworzyła mnóstwo nowych a różnorodnych postaci.

Takie jednak pojęcie o przyrodzie wydaje się nam tak głupiem, iż poprostu odrzucić je musimy. Lecz z myślowego stanowiska niepodobna zaprzeczyć, iż w chwilach wielkich przewrotów, kiedy mieszaniny substancyj na powierzchni ziemi i warunki fizyczne gwałtownym ulegały zmianom, głębokie też mogły zachodzić zmiany w rozwoju stworzeń.

Dr. L. W.

Z piśmiennictwa Francuzkiego.

Chcąc mówić o książce znakomitego belgijskiego pisarza, Camille'a Lemonnier, musimy włączyć ją do utworów piśmiennictwa francuzkiego. Przywykliśmy czynić to, rozbierając dzieła: Maeterlincka, Verhaerena, Rodenbacha' Demolder'a, Eckhoud'a—tej całej plejady młodych autorów rasy flamandzkiej, piszących po francuzku a zażywających rozgłosnego uznania za dobytek talentu, natchnienia i obserwacyi filozoficznej, jaki wnieśli do literatury wszechświatowej. Lemonnier jest ich poprzednikiem, niejako przywódcą i mistrzem. Każdy z nich czerpał w jego myśli i pracy, w jego radzie i moralnem poparciu — siłę do walki z rutyną i obskurantyzmem, przesiąkłej gallofobią i purytanizmem partyi flamandzkiej z jednej strony — z drugiej zaś z nieopisaną obojętnością na wszystkie przejawy ducha partyi Belgów zfrancuziałych, będących u steru społeczeństwa. Żaden z tych młodych pisarzy nie poznał w równym stopniu goryczy zawodów i niepopularności—niż Lemonnier, pierwszy pionier swobodnej myśli, torujący innym drogę. Tak mało czytują go dotąd w jego własnym kraju, iż sam konstatował niedawno, że najlepsza z prac jego, rozeszła się w Belgii w ilości dwustu egzemplarzy.

Wygląda to na prawdziwą ironię, szczególnie, gdy dodamy, że Lemonnier ma za sobą dwadzieścia kilka lat produkcji literackiej i że przed paru miesiącami wydał pięćdziesiątą swą książkę p. t. „Le Sang des Roses“, z okazji której składali mu ostatnio młodo-belgowie hołd uwielbienia; Paryż ma również święcić ten jubileusz. Tymczasem zjawił się już nowy utwór niestrudzonej płodności pisarza; jest nim „Le petit homme de Dieu“ (Ollendorff, Paryż). Rzecz zadziwiająca: najnowsze utwory Lemonniera nie tylko nie zdradzają zmęczenia i wyczerpania, lecz owszem, technika powieściowa udoskonala się w nich coraz, bez uszczerbku dla treści, myśl ujęta jest w formę prostą i ścisłą, lecz zarazem jędrną i barwną, zmysłową i mistyczną, jak krajobrazy Flamandyi i jej ludzie. Jakkolwiek zresztą autorowie flamandzcy, piszący po francuzku, nie tracą wogóle rdzennych cech geniuszu swej rasy, u żadnego chyba nie występują takowe równie wypukłe, jak u Verhaerena w poezyi, u Lemonniera w prozie. Koją oni siłę i namiętność, liryzm i nadmiar niemal temperamentu, wchłaniającego z potężną intensywnością wrażenia i idee oraz szeregującego je w obrazy plastyczne i wyraziste. Czuć w nich synów ziemi, która dała sztuce malarzkiej największych realistów i największych mistyków.

„Człowiek Boży“ najnowszej powieści Lemonniera, Ivo Mabbe, ma sklep nasion i powrozów i należy do wegetującego w samolubnym spokoju zasobnego mieszczaństwa nadmorskiej miejsciny Furnes. Zdawałoby się mogło, iż w tym zapadłym zakątku wieki zatrzymały się w biegu, gdyby autor nie przypomniał, że wprowadza nas tam w chwili obecnej, wspominając o kolejach i stróżach porządku publicznego. Od całych już stuleci, bo od XV wie-

ku, odbywają się tam w dniu Wniebowstąpienia Chrystusa wspaniałe religijne procesye, na które przyciągają tłumy zblizka i zdaleka. Każdy niemal z mieszkańców miasta odgrywa w procesyi jakąś rolę. Ten jest Chrystusem wniebowstępującym a tamten krzyż dźwigającym; Ivo Mabbe, o długich, złotych włosach i jasnej brodzie, o uduchowionej twarzy, której ascetyczny wyraz podtrzymują częste posty i umartwienia, przedstawia trzeciego Chrystusa, wjeżdżającego na osiełku do Jerozolimy. Jego narzeczona, bogata mieszcza Kordula, typowa flamandka: słodka i poważna, chciwa, jak dziecko na łakocie, ujmującą nas swą wielką dla Iwa miłością—wciela postać Magdaleny. Niebrak Matki Chrystusa i św. Józefa, jest Herod i Pilat, są królowie i prorocy, doktorzy i faryzeusze, aniołowie i żołdacy rzymscy; są wreszcie straszne plagi ludzkości: głód, nędza i zaraza — cały naiwny i pompatyczny aparat średniowiecznych uroczystości. Obywatele Furnes, zrzucający z siebie po odbytej procesyi wdziewane raz na rok szaty świętych i możnowładców, wracają ze spokojem do swych codziennych zajęć, do swej zaskorupiałości i wstrętnego egoizmu. Inaczej się dzieje z Iwonem Mabbe. Od tak dawna piastuje godność Chrystusa i wjeżdża do świętego miasta, błogosławiąc lud wierny, iż wkrada się do jego umysłu rozdwojenie jakieś duchowe. Zapomina często, iż jest skromnym właścicielem sklepu nasion, jego gesta i słowa nabierają ewangelicznego namaszczenia a im więcej pości i suszy, tem więcej przekonywa się, iż on, który przecież ucieleśnia Zbawcę świata, ma jakąś wyższą misyę. Gdy medytuje nad przykładem Chrystusa, wzbiera mu do duszy pobożność usubtelniona, chorobliwe pożądanie pełnienia czynów ofiarnych. Okoliczności i wola własna zbliżają go wtedy do biednej ludności rybaczej wybrzeża

i do nędznych mieszkańców przedmieścia, których unika z pogardą bogate mieszczaństwo. Ivo rozdaje pieniądze tym ludziom, żyjącym w błędzie i grzechu, zbiera ich, czyta im i komentuje ewangelię. Następuje to, co nastąpić musiało. Mieszczaństwo i duchowieństwo odpycha wyrodnego syna kasty, głoszącego subwersywne doktryny—Chrystusa, tłum zaś wyprowadza z jego nauk wnioski, iż Ivo powinien iść na czele nędznych swych braci przeciw tym, którzy mają pieniąż i siłę. Gdy „człowiek Boży“ tłumaczy ludowi, iż zbliżając się doń, chciał go tylko duchowo uszlachetnić, słuchacze jego nie rozumieją go już wcale: urągają mu, grożą, wygwizdują go podczas słynnej procesji. Jedna Kordula tuli go do kochającego serca. Szkoda tylko, że przyrzeka mu na pocieszenie cały raj łakoci, które w epokach najsurowszego ascetyzmu nęciły jego flamandzką duszę. Szkoda też, że każe mu autor, w nielitościwym swym realizmie, boleć tyleż nad utraconą na zawsze—dzięki fatalnemu wygwizdaniu—godnością procesyjnego Chrystusa, co nad złem, które widzi w sercach i umysłach ludzi. Lecz za to nie kładzie w jego prostą duszę niezatartej goryczy i rozczarowania. Ivo zapomni, iż chciał być Chrystusem a stawszy się tylko człowiekiem, będzie umiał żyć w prawdzie i sprawiedliwości, oraz kochać smutnych i cierpiących.

Oto bardzo pobieżne streszczenie książki Lemonniera. Więcej jest w jego światopoglądzie miejsca na cienie niż światła. Widzi ludzkość płaską i ciasną, ugrzęzłą w obłudzie i egoizmie. Zdiera z niej obłonki, w które przybiera swą moralną nędzę. Lecz jak człowiek, który żył, myślał i cierpiał, i przebacza wiele tym, u których zabłyśnie choć jedno szlachetne uczucie.

Sezon książkowy rozpoczął się na dobre; niezliczone

produkcyje poetyckie i powieściowe mniej lub więcej przeciętnych pisarzy, zalegają wszystkie wystawy księgarskie. Fakt to niezaprzeczony, że czy to dzięki podniesieniu przeciętnego poziomu kultury, czy też wysokiemu dość wykształceniu humanitarnemu Francuzów, połączonemu z właściwą im zwięzłością i dyskrecją stylu—ilość ludzi, piszących przyzwoicie rzeczy niezłe i nawet zajmujące, wzrasta z dniem każdym. Nie zbywa autorom na obserwacyi, miełoby nawet pewne idee, gdyby nie zamykali się wyłącznie w odtwarzaniu ciasnego mieszczańskiego życia, pospolitych intryg i banalnych miłostek. I dlatego, choć wielu jest piszących i drukowanych płci obojga, mało pomiędzy nimi, niestety, „wybranych“, prawdziwych pisarzy. Z tem większem zadowoleniem witamy taki utwór, jak „Modestie et Vanité“ Péladan'a. Dawny wódz Róż-Krzyżowców, paradoksalny mag, który biadał patetycznie nad dekadencją łacinów, złożył już w literaturze niejeden dowód talentu, równie płodnego, jak oryginalnego. Lecz nigdzie artyzm jego nie wystąpił tak wypukle, jak w ostatniem dziele. „Skromność i próżność“—to tytuł słynnej alegoryi Leonarda da Vinci, zaginionego dziś obrazu z pałacu Sciazza. Dwie bohaterki powieści Péladan'a, dwie księżniczki Visconti: niepokalana kamedułka Bianca i piękna Izabela hołdująca tylko miłości, wcielać mają dwa te symbole. Izabela traktuje i pojmuje miłość w sposób ciekawy. Choć uchodzi za zmysłową, nie nęci jej ostateczny wyraz uczuć. Chce tylko słyszeć zawsze psalmodyę słów namiętnych i oddychać w atmosferze, przesyconej kultem dla jej posągowego piękna. W tem skupia się treść jej życia i cel jej pożądań a siła jej wiary w nieprzepartą potęgę swego cesarza, kładzie u jej stóp ludzi, wielbiących ją miłością wyłączną i bezgraniczną. Powieść Péladan'a przedstawia

chwile jej życia, gdy przynębiona przez zawód miłosny, zamyka się w swym pałacu, szukając ukojenia w towarzystwie siostry mniszki, ślicznej i słodkiej Giovanny, swej wychowanki i filozofa Lionardo, człowieka wyjątkowej kultury i inteligencji, którego ustami przemawia autor a w którego słowach jest doświadczenie i wyrozumiałość mędrca.

Czy utwór Péladana można nazwać powieścią? Nie, to raczej szereg wytwornych dyalogów, w których mierzą się z sobą idee i symbole, to barwna freska o niezmaconej harmonii linii, w której uwydatnia się w całej swej odrębności niepospolity talent Péladana.

Wszelka banalność obcą jest też pióru Jeana Lorrain'a. Ostatnia jego książka „Monsieur de Bougrelon“, daje szereg wspaniałych obrazów Amsterdamu, jego ulic, jego gmachów, jego życia pod ciężkiem, jesiennem niebem, sięjącem deszcze, mgły, dziwne nastroje i dziwnych ludzi, wyjętych żywcem z niedawnej przeszłości. Utworów Lorraina ani opowiadać, ani rozbierać niepodobna. Bodaj, że i czytać je można tylko na paryzkim bruku i podziwiać intensywną wizję tego bizantyńczyka XX wieku, którego styl mieni się blaskami wszystkich barbarzyńskich kamieni, w jakich lubuje się jego bardzo pierwotna i bardzo skomplikowana natura.

Nie możemy pominąć tu milczeniem dwóch wydań pośmiertnych. Są nimi „Moralités légendaires“ J. Laforgue'a (wyszły po raz pierwszy w r. 1897) i tom nowel Stendhala. Wiemy, z jaką subtelną ironią burzył Laforgue piedestały, aureole i legendy ludzkości. Niektóre z tych „Moralités“ przywiodły już nieco, lecz całość nosi piętno tego odrębnego i głębokiego umysłu, o którym powiedział

Maeterlinck: „Laforgue widział wiele rzeczy inaczej niż inni i prawie zawsze lepiej niż inni“.

Biblioteka Grenoble, rodzinnego miasta Stendhala, posiada jeszcze kilkadziesiąt tomów jego manuskryptów, z których pietyści wielkiego pisarza, odtwarzają raz po raz nowe jego dzieła. Tom nowel, wydany obecnie, należy stanowczo do słabszych jego utworów. Żadna nie jest doprowadzona do końca, czynią wrażenie szkiców. W każdym razie, odnajdujemy w nich wytworną formę i arystokratyzm myśli, które zawsze wielbimy w Stendhalu.

W dziale krytyki literackiej wyszła ostatnio bardzo dobra praca J. Ernest-Charles'a *), prowadzącego kronikę literacką w tygodniku „Revue Bleue“. W każdej linii tej książki czuć zdecydowanego wroga banalności i łatwych sukcesów; ostre pióro krytyka chłoszcze Nielitościwie wszystkich dorobkowiczów pióra i rycerzy reklamy, coraz bezwzględniej się panoszącej i wygania ich z przybytku literatury, w którym niema dla nich miejsca.

R.

*) P. t. „Samedis littéraires“.

J. GAULET.

Piękno w naturze i sztuce.

I.

Piękno i brzydota stanowią dwa pojęcia, na których temat ciągle toczą się spory w sztuce i w nauce o sztuce. Jakie jednak wyobrażenia wywołują oba te pojęcia? Nauce o pięknie grube poświęcano tomy, pomimo to jednak autorom tych ksiąg nie udało się ustalenie prawideł, warunkujących znajdowanie jednej rzeczy piękną, innej — brzydką. Specjaliści określają istotę piękna następującą formułą: piękno jest nieodzownym pierwiastkiem życia człowieka, jako osobnika, czyli istoty specyficznie duchowej. Człowiek z natury rzeczy trzy ma przed sobą drogi, któremi kroczyć może jego rozwój i do których dążyć powinien: pragnienie dobra, prawdy i piękna. Dobro jest postacią duchowego samowyzwolenia w dziedzinie pożądania, prawda — w dziedzinie poznawania, piękno — w dziedzinie oglądania.

Filozoficzne to określenie niewiele nas, co prawda, objaśnia. W dalszym ciągu nie wiemy, dlaczego jeden twór natury wydaje nam się pięknym, inny — brzydkim; to, co dla mnie jest dobre i ładne, to samo innemu wyda

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

DODATEK POPULARNO - NAUKOWY

(BEZPŁATNY).

pod redakcją

Adama Wiślickiego.

PÓLROCZE PIERWSZE 1903.

WARSZAWA.

Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego”.

Pasaż Miodowa-Długa № 23.

—
1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Июня 1903 г.

się złem i wstrętnem. Dlatego też fałszywym jest z gruntu postawienie ogólnej zasady ideału piękna. Wszyscy ludzie odbierają wrażenia ze świata zewnętrznego za pośrednictwem tych samych narządów zmysłów, przyjęte jednak wrażenia przerabiane są przez każdego człowieka inaczej. Na proces ten różne wpływają okoliczności. Przedewszystkiem brać należy pod uwagę indywidualność patrzącego, wrodzone jego cechy, skłonności, temperament i rasę; następnie warunki zewnętrzne: wychowanie, tradycje, warunki miejsca i czasu. Jeden odczuje tylko wrażenia potężne, wzniosłe, zupełnie zaś niewrażliwy jest na rzeczy proste i pełne subtelności wdzięku; inny zdradza wyraźną skłonność do sielankowości i marzycielstwa, wszystko zaś, co wielkie i silne, budzi w nim jedynie uczucie grozy, a tem samem nie pociąga go ku sobie, nie odpowiada jego pojęciu o pięknie. Wychowanie i tradycja niesłychanie ważną odgrywają rolę w sądzie każdego człowieka o świecie zjawisk i w ocenianiu ich z punktu widzenia estetyki. Jeśli w dzieciennych latach nauczono mnie uważać za piękne pewne zjawisko natury, pewną rasę ludzką, pewien utwór sztuki—będę uważał je za piękne dopóty, dopóki, dzięki przeróbce innych, nowych wrażeń i porównaniu ich wzajemnemu, nie wytworzę sobie wprost przeciwnego poglądu.

Przy ocenianiu świata zewnętrznego jako czystego przejawu piękna, wchodzi w grę jeszcze jeden czynnik oprócz wyżej wymienionych, a mianowicie: osobiste—a także płciowe—stosunki patrzącego osobnika na oglądany przedmiot. Mężczyzna zupełnie różny wyda z punktu widzenia estetyki sąd o kobiecie zależnie od stopnia swojej dla niej sympatii. Ukochana kobieta będzie w ocenach jego piękną,

choćby podobne pojęcie jaknajmniej odpowiadało rzeczywistości. W stosunku do niej pozbawiony on jest swobody estetycznego sądu. Kobiety noszą, niewiadomo dla czego, miano płci pięknej, jakkolwiek mężczyźni mają co najmniej takie samo prawo do tego epitetu. Ideał piękna kobiecego różnym podlegał metamorfozom, co bynajmniej nie przemawia na jego korzyść. W zaraniu epoki Odrodzenia ideałem było suchotnicze piękno typów Botticellego (1446—1510), nie mających w sobie żadnych cech ziemskich. Rafael (1483—1520) lubił kobietę zdrową, opromienioną blaskiem szczęścia macierzyńskiego, Madonnę—i zrobił z niej ideał swojej epoki. Palma il Vecchio (1480—1528) przekładał bogactwo kształtów, typy czarujące, ale pociągające pełnią powagi i spokojnego wdzięku—typy takie służyły w ciągu całego stulecia za wzór idealnego piękna artystom weneckim oraz zagranicznym ich kolegom po pędzlu i dłucie. Ideał piękna kobiecego artystów szkoły holenderskiej jeszcze bardziej różnił się od wzorów Botticellego. Dla Rubensa (1577—1640) ideałem była kobieta, kwitnąca zdrowiem, podniecająca zmysły; pojęcie o pięknie łączy się u niego — rzecz rzadka — z pojęciem o zdrowiu. Następnemu jednak pokoleniu jaśniejąca zdrowiem kobieta przestaje wydawać się pociągającą, to też strąca on typ taki z piedestału idealnego piękna. Po wspaniałych, przepysznych Rubensowskich dzieciach natury, następują wytworne, subtelne damy Watteau (1684—1721), w stylu rococo. Podstawą piękna staje się wdzięk, nieco wymuszony i zalotność, nieco później nawet nienaturalność i sztywność.

Inne rasy i narody mają ideał piękna zupełnie różny od naszego. Murzynom podobają się u kobiet wypukłe, mięsiste usta, zadarty nos i wiszące piersi, a kobieta, ob-

darzona szczególnymi temi cechami, jest dla nich wzorem piękna. Są rasy, w których pojęciu szpecenie, skażenie, a nawet kaleczenie natury jest warunkiem piękna. Tak np. Indyanie uzupełniają naturę wstrętnem, według naszych pojęć, tatuowaniem ciała. Wyspiarze Oceanu Spokojnego oraz inne dzikie plemiona w szczególny sposób zmieniają na „lepsze“ naturalne kształty ciała, zawieszaniem i wkładaniem w uszy, nos—różnych przedmiotów, jak: pierścieni, blaszek, pałeczek, a to w celu wywołania naturalnego rozszerzenia i powiększenia tych części twarzy. Niektóre narody—zgodnie z szczególnymi swojemi na piękno poglądami—kaleczą kończyny i czaszkę. Zwyczaj ten panuje nawet wśród tak wysoko pod względem intelektualnym stojących narodów, jak Chińczycy i Japończycy. Wątła kobieta, ledwie wlokąca się na okaleczonych nogach, wydaje im się ideałem kobiecego piękna.

Niektórzy estetycy czynili próby utożsamiania piękna z fizyczną doskonałością kształtów i zdrowiem ciała. Według teorii tej, prawdziwie pięknym jest jedynie organizm, funkcjonujący zupełnie prawidłowo i odpowiadający wszelkim wymaganiom, jakie można postawić dobremu mechanizmowi zegarowemu. Silnie rozwinięta pierś, wydane biodra, pełne ręce i nogi, zaokrąglony owal twarzy oraz bogactwo włosów—są—zgodnie ze szkolną estetyką—zasadniczymi warunkami kobiecego piękna. W rzeczywistości jednak, wcielenie takiego ogólnie uznanego kodeksu piękna może nie wywierać na nas żadnego wrażenia. Wszystkie te warunki znajdujemy nieraz u dziewczek folwarcznych, które bynajmniej jednak nie odpowiadają pojęciu, jakie wytworzył sobie o pięknie człowiek współczesny.

W stosunku do piękna nieodpowiedniemi okazują się

wszelkie formułki, nie przyjmują one bowiem i nie mogą brać pod uwagę momentu psychologicznego, mającego decydujące znaczenie, ponieważ właściwości duchowe nie dadzą się podciągnąć pod żaden system. Im subtelniej rozwinięta jest w człowieku zdolność do przyjmowania wrażeń, tem wytworniejszym jest jego smak. Samo piękno kształtów już go niezadawalnia: chcąc rozkoszować się oglądanym żywym—a nawet martwym—przedmiotem, usiłuje on zbadać wewnętrzną jego istotę, znajdującą swój wyraz w wyglądzie jego zewnętrznym. Odbicie duszy uszlachetnia i odradza człowieka, może nawet ono pogodzić nas z istotną jego szpetotą. W życiu każdego człowieka zdarzają się chwile, w których opromienia go uduchowione, nieziemskie jakoby piękno. Zakochana dziewczyna, kobieta w pełni szczęścia macierzyńskiego—są piękne, chociażby w rzeczywistości rysy ich twarzy zupełnie nie były pociągające. Niektórzy chorzy bywają piękni w ostatniem stadium choroby, kiedy słaby płomyk życia lada chwila ma zagasnąć. Ten jednak moment piękna niema nic wspólnego z pięknem kształtów, które dałoby się ująć w pewien system.

Wszelkie twory natury, chociażby nawet najróżnorodniejsze, podlegają pewnemu kryterium piękna. Zawodowa estetyka ułożyła pewien stały kanon zarówno dla ciała ludzkiego, jak i dla innych tworów natury. Składnikami tego kodeksu są: światło, barwa, kształt oraz barwa i kształt w rozmaitych zestawieniach. Przy estetycznem badaniu natury świat uważanym bywa jedynie jako zbiór zewnętrznych kształtów i postaci widomych, wewnętrzne zaś cechy przedmiotów nie są przy tem uwzględniane—to bowiem wkracza już w dziedzinę historii naturalnej. Pomimo to jednak, badanie estetyczne niezawsze daje się

ściśle odgraniczyć od przyrodniczego, jakkolwiek bowiem nie zdajemy sobie nawet z tego sprawy, wchodzą w grę przy estetycznym badaniu zmysły, służące do odtwarzania w umyśle naszym pojęć o wewnętrznych cechach przedmiotów, szczególnież zmysł węchu. Wskutek tego wrażenie pierwotne znacznej ulega zmianie: słabnie lub potęguje się. Im niżej stoi rasa, tem silniej wpływa zmysł węchu na sąd estetyczny. Tak np. ostry zapach, cechujący Murzynów, wpływa na nich podniecająco. Kobieta murzyńska, posiadająca — oprócz powyżej wymienionych warunków piękna — tę ostatnią jeszcze zaletę, a więc działająca nietylko na zmysł wzroku, ale i węchu, jest dla mężczyzny swojej rasy szczególnie pociągającą i zdaje mu się wcielonym ideałem piękna. Zwierzęta pociągają li tylko zapach; oko i ucho, jako narządy estetycznego badania, żadnej nie grają roli.

Po za zmysłami wywiera rozsądek zasadniczy również wpływ na wrażenie estetyczne, przyczem dużą odgrywają rolę wyobrażenia smakowe. Tak np. świni przy najlepszych chęciach nie można uważać za przedstawicielkę piękna wśród czworonożnych. Ze wszystkich gruboskórnych jest ona najmniej interesującym i najmniej doskonale ukształconem zwierzęciem, pomimo to nie budzi w nas pod względem estetycznym takiego wstępu, jak bliższy jej krewniacy: nosorożec i hipopotam. Zjawisko to daje się wytłómaczyć na tej jedynie zasadzie, że prawdopodobnie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, wiążemy z wyobrażeniem świni pojęcie o jej użyteczności oraz o przyjemnym smaku jej mięsa. Chłop, dla którego świat jako forma zewnętrzna prawie żadnego nie posiada znaczenia, którego czynami kierują czysto praktyczne względy, ma dla świni uczucie sympatii, otacza ją troskliwością, jakiej

nieraz nie okazuje najbliższym nawet członkom rodziny. Utożsamia on pojęcie piękna z pojęciem pożytku. To, co zapewnia mu praktyczne korzyści, jest piękne i dobre, rzeczy zaś nieużyteczne—są w jego pojęciu brzydkie: gnójwka jest dlań miłszą nad grzędkę fiołków, pole rzepy—nad jaśminową altankę.

W ten sposób więc naturalna, chociażby nieświadoma, myśl o użyteczności przedmiotu obserwowanego—zasadniczo wpływa na estetyczny sąd o nim; tak samo też zkadinać wpłynąć może i ta okoliczność, że dany przedmiot jest nam obcym. Nie posiadamy wogóle ustalonej miary estetycznej w stosunku do tworów egzotycznych lub przedhistorycznych. Gdyby wypadło nam stanąć wobec przedpotopowych stworzeń—archopteryksa lub ichtyozaura—nie wiedzielibyśmy, czy mamy je uważać za piękne, czy też za brzydkie. Nawet zwierzęcy świat Australii i Oceanii, będący pozostałością fauny przedhistorycznej, nie wywiera na nas szczególnego wrażenia pod względem estetycznym. Rozpatrujemy zwierzęta tego rodzaju, jak kenguru, jako osobliwości raczej z punktu widzenia naukowego, aniżeli estetycznego. To samo da się powiedzieć o egzotycznej florze i faunie; wspaniałość barw dziwiczego lasu działa na nas przygnębiająco; mówimy o „rażących“ barwnych dysonansach papugi, kakadu, i t. p. W ten sposób więc wartość estetyczna warunkuje się—do pewnego stopnia—czasem i przestrzenią, w których żyjemy. To, co leży po za obrębem naszej ery lub po za zakresem naszego codziennego życia, wydaje nam się raczej szpetnem.

Obserwujący osobnik nosi w sobie samym własną miarę piękna. Dlatego też nie istnieje bezwzględne piękno samo przez się; niema bezwzględnego, uznanego przez wszystkich ideału piękna. Natura sama przez się nie jest

ani piękną, ani szpetną; my sami przypisujemy jej tę lub ową cechę. Wiele z jej przejawów nie daje się pogodzić z naszymi etycznymi i estetycznymi wyobrażeniami. Ludzie wstydzą się ich nawet, odczuwają bowiem całą nieestetyczność niektórych swoich popędów, pewnych stron swojego przyrodzenia. Bajka o bocianie, pragnącym oczyścić i poprawić świat, jest wynikiem raczej estetycznego aniżeli etycznego zakresu pojęć i tyczy się bardziej dorosłych niż dzieci.

II.

I w sztuce, zarówno jak w naturze, nie istnieje norma piękna, norma ogólnego i przez wszystkich uznanego ideału estetycznego. Już Arystoteles określił piękno, jako uzewnętrznienie idei za pośrednictwem formy, dostępnej dla narządów zmysłów; określenie to nadaje się w zupełności dla wszystkich epok. Uzewnętrznienie takie wymaga jednak koniecznie dwóch czynników: myśli i materiału, które w sztuce w rozmaity spożytkowują się sposób. Na Wschodzie, gdzie w życiu ludzkości natura górowała nad duchem, bierze i w sztuce górę materiał; myśl nie daje się wyzwolić z pęt materii. Dlatego też twórczość starożytnych narodów wschodnich wyrażała się przeważnie w formach architektonicznych. Ideał piękna sztuki wschodniej cechuje zamiłowanie do potęgi i przepychu kształtów i rozmiarów. Wszystkie wschodnie symbole bóstw odznaczają się olbrzymimi rozmiarami i fantastycznie powiększonymi naturalnymi kształtami. Takie są np. niezliczone kombinacje zwierząt z ludźmi: egipskie sfinksy, bogini Zehmet z głową lwa, i t. p.

W klasycznej sztuce Greków i Rzymian strona ideo-

wa i materyalna zrównoważyły się. Dla Greków i Rzymian ideałem piękna w sztuce była harmonia cielesna i ideowa, zespół natury i ducha. Dlatego też twórczość ich objawiała się przeważnie w kształcie plastycznym. Sztuka ich obrała za przedmiot ruchomą postać ludzkiego ciała, zamiast nieruchomych architektonicznych form. W sztuce późniejszych narodów, ulegających przeważnemu wpływowi chrześcijaństwa, myśl zaczyna stopniowo górować nad materią, przez czas pewien strona cielesna w zupełną idzie poniewierkę i estetyczny punkt ciężkości przenosi się na ideową treść odtwarzanego przedmiotu. W epoce Odrodzenia piękno kształtów odzyskuje dawne swoje znaczenie. Ideałem piękna epoki Odrodzenia staje się znów harmonijne połączenie strony ideowej z cielesną oraz równowaga i wzajemny wpływ piękna wewnętrznego i piękna form (Madonny Rafaela, kobiece postacie Palmy Vecchia i Tycjana).

Rozwój strony materyjalnej w ideową, czyli proces demateryalizacji, dokonywający się w sztuce, zajmował filozofów wszystkich epok, wszyscy też czynili próby ujęcia go w pewien system i całość. Według Hegla całość kształt sztuk pięknych z następujących składa się części:

1) *Architektura* — punkt wyjścia wszystkich sztuk. Forma jej przeważnie jest symboliczna, ponieważ przeważa w niej działająca na zmysły materia.

2) *Rzeźba*, związana zarówno jak i architektura z kamieniem; jest ona już jednak poważnym krokiem naprzód od świata nieorganicznego do świata organicznego. Wyobraża ona ciało w jego czystości i pięknie, ale nie jest jeszcze w stanie wyrazić za pomocą swojego materiału momentów życia duchowego, a jeżeli to czyni, dokonywa tego w sposób bardzo niedoskonały.

3) Malarstwo. Materiał jej — barwy — znacznie drobniejszy jest od materiału dwóch poprzednich sztuk i dlatego też jest ona w stanie odtworzyć świat widomy w postaci (ale nie w materiale) rzeczywistej i wyrazić wszystkie odcienia uczuć, stanów duszy, myśli i czynów. Uzupełnia ona szereg sztuk, których cechą jest zasada jednoczesności.

4) Muzyka. Materiałem jej jest ton, drganie drżące ciała. Otwiera ona następną grupę sztuk, które charakteryzuje następowanie po sobie namentów, działających na wyobraźnię i zmysły. Muzyka działa wyłącznie na wrażenia; dlatego też nie odtwarza ona zupełnie wydarzeń rzeczywistych, określonych postępów i konkretnych charakterów. Rzeczy te wkraczają w dziedzinę czynu.

5) Poezja, której materiałem jest dźwięk w postaci słowa, znaku, wyrażającego obraz, pojęcie. Poezja może odtwarzać wszystko, obejmuje ona bowiem wszystkie sztuki. Liryka, wyrażająca wewnętrzny stan duszy, odpowiada muzyce. Epos obejmuje zakres działania sztuk pięknych, zwłaszcza malarstwa. Poezja dramatyczna łączy wszystkie sztuki; jest ona wyrazicielką nie tylko wewnętrznych stanów duszy, jak liryka, ale również określonego aktu zewnętrznych wydarzeń oraz ich cech szczególnych. Dzięki materiałowi swojemu, graniczy ona z malarstwem historycznym.

Wielu estetyków dodaje do tej systematyki sztuk pięknych jeszcze mimikę, stanowiącą przejście od muzyki do poezji i używającą powierzchowności człowieka, jako środka. W rzeczy samej jednak, mimika jest tylko środkiem, uzupełniającym inne sztuki: w postaci tańca występuje ona w połączeniu z muzyką, w postaci gestykulacji — w połączeniu z poezją dramatyczną.

Przechodząc stopniowo od jednej sztuki do drugiej, można wyprowadzić prawo, że rozmiar idei rośnie w miarę malenia materiału. Zasada odwrotnego stosunku idei do materiału panuje w obu grupach sztuk pięknych. Idee, jako przedmioty odtwarzania a zarazem jako środek odtwarzania, stają się coraz bardziej treściwymi i konkretnymi i jednocześnie coraz mniej materalnymi. Całokształt sztuk pięknych określa granice artystycznego odtwarzania i wskazuje stosunek wzajemny idei i materji. Nie dotarliśmy jednak jeszcze do istoty piękna. Sztuka może być ujęta w pewną formułkę, piękno zaś nie. Sztuka jest wynikiem wrodzonego istocie ludzkiej dążenia, wyrażającego się zrazu w dążeniu do naśladownictwa, potem w dążeniu do zabawy i znajdującego najwyższy wyraz działalności w ś w i a d o m e m naśladowaniu natury. Tem samem więc podstawą wszelkiego rodzaju sztuki jest z a b a w a, t. j. widoma rzeczywistość. Dlatego też utwór, przekraczający granice odtwarzania widomej tylko natury, czyli wszelkie naśladownictwo tworców natury za pomocą prawdziwego ich materiału, nic niema wspólnego ze sztuką. Tem tłómaczy się, dlaczego panoramy oraz figury woskowe, posiadające w większym lub mniejszym stopniu dążność dania zupełnego złudzenia rzeczywistości i których pojedyncze szczegóły bywają często (panoramy, dyoramy) zrobione z tego samego materiału, z jakiego zrobione są w życiu rzeczywistem, wywołują często uczucie estetycznego niesmaku.

Chcąc lepiej zbadać istotę złudzenia natury, czyli naśladowania natury, przypatrzmy się nieco bliżej określone-mu jakiemuś przedmiotowi odtwarzania artystycznego. Wyobraźmy sobie tancerkę, obdarzoną wszelkiemi czarami piękna kobiecego, służącą za model rzeźbiarzowi i mała-

rzowi. Rzeźbiarz odtworzył postać jej w zwykłym rzeźby materyale, w marmurze. Malarz lepiej jeszcze odtworzył widomą rzeczywistość, przeniósłszy postać na płótno, czyli na płaszczyznę za pomocą farb. W obu wypadkach, pomimo różnorodności materyałów, zadośćuczyniono wszelkim wymaganiom estetycznym, stawianym u dzieł sztuki. Jeśli jednak tę samą postać zrobimy z wosku i włożymy na nią prawdziwą suknię, będziemy mieli już nie naśladownictwo natury, ale złudzenie natury, czyli kłamstwo. Piękny twór natury przeistacza się dzięki plastycznemu lub literackiemu odtworzeniu w piękny twór sztuki; przeistoczony zaś w postać figury woskowej, t. j. wykonany z prawdziwego materyału, staje się nieartystycznym.

Odróżniamy piękne i brzydkie twory natury, ale nigdy piękne i brzydkie twory sztuki: ostatnie nie istnieją, albowiem estetyczna ocena sztuki ma do czynienia tylko ze sposobem odtwarzania i wykonania, nie zaś z przedmiotem odtwarzania. Wszelki temat—niezależnie od tego, czy nazwiemy go „pięknym“, czy „brzydkim“ — staje się tworem sztuki tylko dzięki sposobowi odtwarzania. To nawet, co w naturze jest brzydkie, może się stać pięknem z punktu widzenia artyzmu odtworzenia.

Wyobraźmy sobie np. scenę z życia nędzarza. Duszna izba, w której na barłogu walczy między życiem a śmiercią wynędzniały robotnik, tuż przy nim skupili się: jego obdarta, nawpół naga, szkieletowo-chuda żona i głodne, brudne dzieci. Scena ta, widziana w życiu rzeczywistym, sprawi wrażenie beznadziejnie przygnębiające, nie mające nic wspólnego z estetyką. Jeśli zaś tę samą scenę odtworzymy w postaci tworu sztuki, to—oczywiście pod warunkiem, że zostanie artystycznie wykonana—pomimo, że wywrze wrażenie równie smutne i bolesne, wrażenie to zo-

stanie osłabione przez inne, wywołane artystycznym odtworzeniem natury. Gdy bowiem uwagę naszą zajmuje i przykuwa przedmiot, odczuwamy jednak jednocześnie artystyczną doskonałość odtworzenia jego na płótnie. Czasem zapominamy nawet przy tem o samym temacie, woskowa figura zaś nigdy nie wywoła podobnego wrażenia dlatego, że nie została uwzględnioną przy wykonaniu jej arystotelesowska zasada artystycznego symbolu. Tem samym więc zarówno rzeczy brzydkie w naturze, jak piękne, mogą być przedmiotem odtworzenia, jedne i drugie jednak stają się przytem artystycznie pięknymi. Pamiętać tylko należy, że w dziele sztuki odtwarzamy świat, jedynie jako zewnętrzną widomą rzeczywistość, tem samym więc pozbywamy się wszystkich innych wrażeń zmysłowych. Na obrazie nie czujemy, jak w rzeczywistości, przykrego zapachu, jakim przejęta jest izba nędzarza; umysł nasz odtwarza dany fakt jedynie jako widome kształty, właściwe więc, istotne cechy szczególne przedmiotu, wpływu na nas nie wywierają. Jakkolwiek więc istota sztuki polega na naśladowaniu natury, jest jednak sztuką, czemś więcej jeszcze, aniżeli naturą, w wyższym bowiem jeszcze stopniu urzeczywistnia czystą formę zewnętrzną (piękno). Z przytoczonego przykładu wypływa też, że piękno nie jest pewną bezwzględną, w sobie zawartą, całością, ponieważ w sztuce warunkuje się ona zupełnie innemi momentami, aniżeli w naturze.

Spis artykułów

zawartych w Dodatku Popularno-Naukowym „Przeglądu Tygodniowego“ w pierwszym półroczu 1903.

SOCYOLOGIA.

Herbert Spencer: Fakty i przypiski str. 1, 65, 129, 194, 321.

Problemat rasowy w gospodarstwie wszechświatowym, podług dr. J. Wolfa, str. 56.

NAUKI HISTORYZOFICZNE.

H. G. Wells: Odkrycie przyszłości, str. 154, 218.

NAUKI POLITYCZNE.

Konkordat we Francyi, przez Marcelego Szarotę, str. 23.

NAUKI PEDAGOGICZNE.

Politechniki londyńskie, przez Karola Hertza.

NAUKI PRZYRODNICZE.

Z dziedziny wiedzy, str. 107.

Dr. Feliks Auerbach: Władczyni świata i jej cień, str. 280, 337.

Dr. Benedikt: Wielość w antropologii, str. 353.

NAUKI SPOŁECZNE.

Nauka dobroczynności: I. Pomoc sierotom, przez Ed. Dutlingera. II. Organizacya dobroczynności w Londynie, przez K. K., str. 235.

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

- Poezya polska, przez J. A. Hertza, str. 45.
Pisma Juliana Klaczki, przez Br. W., str. 117.
Powieści bohaterskie, przez J. A. Hertza, str. 173.
Nowele, przez J. A. Hertza, str. 145.
Bohdan Zaleski, przez S. Zdziarskiego, ocena H. Ułaszyna, str. 299.

PIŚMIENICTWO OBCE.

- Piśmiennictwo niemieckie, przez B. M., str. 54, 125, 185.
Notatki z piśmiennictwa angielskiego, str. 59.
Modernizm, str. 167.
Trylogia dramatyczna Knuta Hamsuna, przez J. Klemensiewiczową, str. 308.
Piśmiennictwo francuzkie, przez Radwana, str. 361.

SZTUKI PLASTYCZNE.

- Wystawa „Mir iskustwa“, przez P. Ettingera, str. 97.
Sztuka i kobieta, str. 151.
J. Gaulet: Piękno w naturze, str. 368.

CHARAKTERYSTYKI I NOWELE.

- Lynkeus: Z fantazyi realisty, str. 266.

ROZMAITOŚCI.

- Mozaika (Moda i wiedza naukowa), str. 190.
-